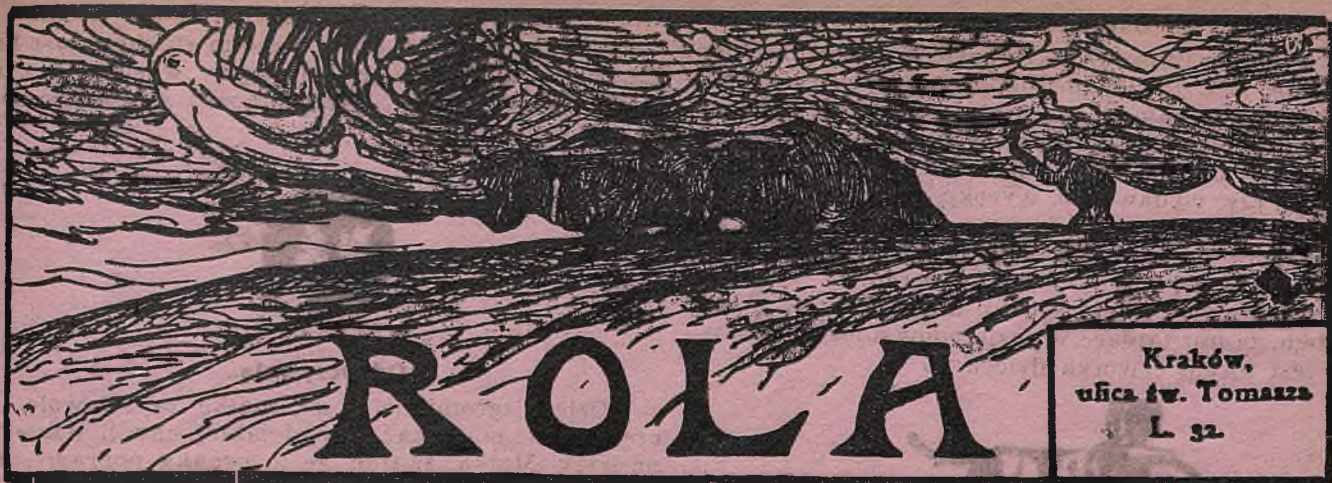
Numer 17. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 22 Kwietnia 1934



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Ostatnie słowo.

— Proszę o litość! O tak! Proszę o zmiłowanie nie dla siebie, lecz dla tej biednej żony i tych biednych dzieci, które czekają w domu na swego ojca. Czekają i wierzą, że ojciec przyniesie zarobione pieniądze, za które będzie można kupić i jedzenia i węgla. Wysoki Sądzie! Przy wydawaniu wyroku pamiętaj o tych biednych dziatkach!...

Sędzia — przerywając: — O jakich dzieciach mowa? Przecież oskarżony jest kawalerem?

Podsądny: — Panie sędzio, umówiłem się z adwokatem, że mu zapłacę w razie pomyślnego wyroku. A on jest ojcem czworga dzieci.



Czystość.

— Zrobiłem na chusteczce węzełek i zapomniałem poco.

— Może chciałeś zapamiętać, że masz ją oddać do pralni?!



Przeprosił ładnie.

— Karolku, jak mogłeś powiedzieć wujciowi, że jest głupi! Idź w tej chwili do niego i przeproś go ładnie!

— Kochany wujciu, bardzo mi przykro, że jesteś głupi — odpowiada malec.

Głuchy.

— Tak panie doktorze, z moim słuchem jest bardzo źle — gdyby nawet koło mnie wystrzelili z armaty, byłoby tak cicho, żeby można słyszeć przebiegającą mysz.



Odpoczywają...

Dzieci zgromione przez matkę za swawolę, zaczęły rzewnie płakać. Po niejakiej chwili nagle się uciszyły. Matka, sądząc, że to oznaka poprawy, mówi do nich:

— Kontenta jestem, dzieci moje, żeście rozumniejsze i żeście beczeć przestały.

— My nie przestali — powiada chłopczyk. — My odpoczywamy.



Z głodu.

— No, żono, przynieś mi tę rybę, którą miałaś ugotować.

— Niestety, mężu, kot ją zjadł.

— No to resztę cielęciny.

— Także kot ją zjadł.

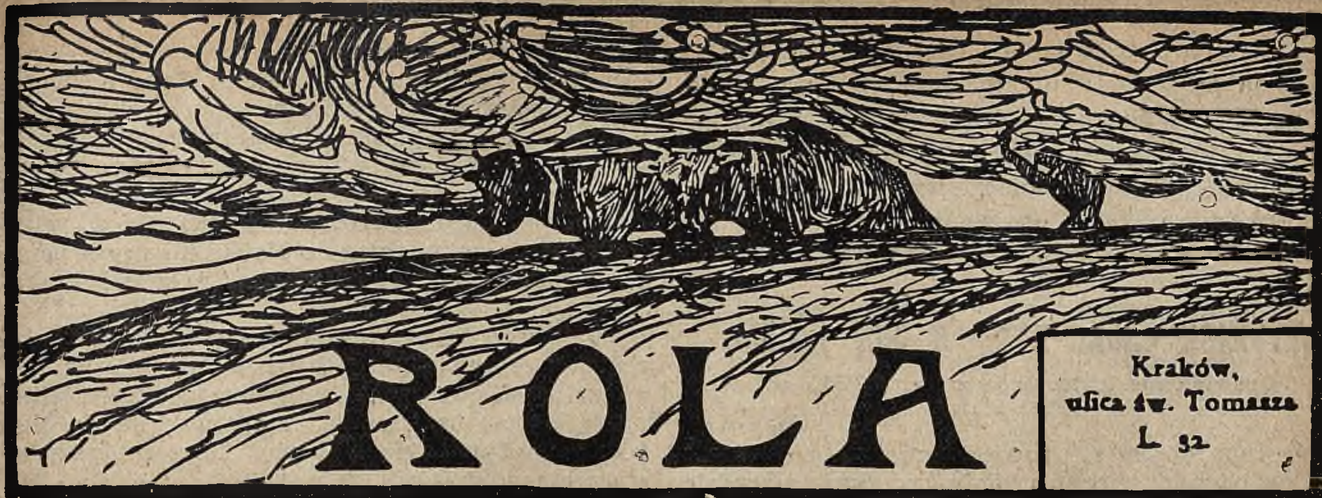
— To okropność. Daj mi więc sera.

— Kot go zjadł.

— Do kroćset! To daj mi kota. Muszę przecież coś zjeść.



Numer 17. Rok XVII. Kraków, dnia 22 kwietnia 1934.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1934: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·50 zł., kwartalnie 3·40 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Jak prowadzić towarzyską rozmowę?

Umiejętność prowadzenia towarzyskiej rozmowy nie należy do rzeczy łatwych. Są osoby, tak na wsi jak i w mieście, które mają w tym kierunku dar wrodzony i potrafią mówić o najbłahszych rzeczach w sposób interesujący. Naogół spotyka się takie jednostki dość rzadko, o wiele częściej jesteśmy zmuszeni wysłuchiwać nudnych rozmów o sprawach bardzo mało nas zajmujących.

Jeszcze częściej skazani jesteśmy na odpowiadanie na oklepane frazesy i zwroty, zadawane nam zawsze niemal w podobnych okolicznościach. Gdyby która z pań zadała sobie trud porachowania, ile razy w ciągu jakiegoś wieczoru tanecznego zapytano ją: „jak się pani bawi, czy jak się na danej zabawie bawiła?" napewno liczba byłaby wielka. — Podobnie dzieje się w porze wiosennej i letniej z pytaniami dotyczącemi wyjazdów letnich, spacerów i wycieczek.

Należy również unikać powtarzania się. Osoby lubiące wywoływać efekt, potrafią powtarzać po kilka razy te same dowcipy i nie spostrzegają zupełnie, że słuchacze wcale nie są nimi zachwyceni. Inni znów układają sobie pewne frazesy, t. zw. miłe słowa, czyli komplementy i mówią je w ciągu jednego wieczoru kilkunastu osobom.

Niezależnie od treści i poziomu prowadzonej rozmowy należy zawsze pamiętać, by utrzymana była w tonie kulturalnym a więc nie unosić się przy dyspucie, nie zaprzeczać ostro swemu rozmówcy, a zwłaszcza nie zadawać mu kłamu, nie poruszać w nieodpowiedni, lekki lub ironiczny sposób tematów, które głębiej go dotykają i mogą sprawić mu przykrość. Nie powinno się też prowadzonej rozmowy okraszać nagłymi i poufałymi ruchami rąk.

Umiejętność uszanowania cudzych przeszkód i wysłuchania wszystkich zdań, chociażby się skrajnie różniły od naszego jest dowodem kultury i ogłady towarzyskiej.

Najczęstszym dowodem bezmyślnej rozmowy jest lenistwo. Nie chce nam się go przezwyciężać, by poruszyć jakiś głębszy temat i wciągnąć weń innych. Wolimy raczej bez żadnego wysiłku powtarzać oklepane komunały, utarte frazesy, lub obmawiać bliźnich. Zwłaszcza w obecnych czasach powojennych, ten typ rozmowy stale króluje.

Gdybyśmy jednak zadali sobie nieco trudu i postarali się wniknąć w chwilowy nastrój, w zainteresowania — poprostu w osobowość danego człowieka, z którym rozmawiamy, napewno znalazłby się odpowiedni temat, który potrafiłby zająć obie strony. To samo odnosi się i do całego zespołu osób, w towarzystwie których przebywamy.

Oczywiście, że w liczniejszem gronie, zwłaszcza osób mniej znanych, trudno zagłębiać się w poważne tematy. Wówczas rozmowa jest lżejsza, a z poszczególnemi osobami zazwyczaj dość krótka.

W każdym wypadku pamiętać musimy o zasadniczym warunku nie przerywania osobie mówiącej i nie przeszkadzania osobom prowadzącym rozmowę między sobą.

Ludzie młodzi, poczynający bywać w towarzystwach starszych osób, nie powinni narzucać swoich tematów. Lepsza jest w tym wypadku skromność, niż pokrywanie braku doświadczenia zbytnią pewnością siebie, często rażącą w towarzystwie.

Z rozmową towarzyską łączą się też ściśle i t. zw. uprzejmości towarzyskie. Polegają one na całym szeregu drobnych grzeczności, do których należy zainteresowanie się jakimś ważniejszym wypadkiem, dotyczącym drugiej osoby np. chorobą, podróżą, rodziną i t. p., udzielenie jakiejś drobnej informacji, rady, po-

mocy, wyświadczenia jakiejś niewielkiej usługi, — zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyznę w stosunku do kobiety, a więc podanie, podniesienie czegoś itp.

Każdy taki dowód pamięci stanowi nić łączącą ludzi między sobą, czyni dobre wrażenie i świadczy o kulturze towarzyskiej danego człowieka.

Człowiek sądzi — a Bóg rządzi.

Opowiadanie historyczne z końca XVII w.

(Przez Sta).

(Ciąg dalszy).

Jeryna godziła się pozornie na ten projekt, ale nie dowierzając księciu, ułożyła po długiej naradzie z Małką i Ksenią, uciec ze starościanką, skoro Orun wyjedzie, towarzysząc młodej parze do Lwowa, — a Chmielnickiemu nic nie mówić.

Juraś zaś, nie dowierzając tak samo Jerynie, jak ona jemu, i obawiając się, że mu nie doniesie o odjeździe żyda, kazał wezwać do siebie Oruna i oświadczył mu, że chce z jego odaliku wybrać sobie niewolnicę. Handlarz okazał wielką gotowość, ale zauważył, że w połowie września wyjedzie w podróż, z której spodziewa się przywieźć kilka pięknych dziewcząt, więcby może książe raczył poczekać z wyborem.

— A dobrze — odparł Chmielnicki z dziwnym uśmiechem — to się właśnie pomyślnie składa, bo w jesieni dopiero będę miał okup za tę niewolnicę, o której myślę.

A gdy się drzwi za Orunem zamknęły, Juraś dodał śmiejąc się głośno:

— Jedź, jedź po piękne branki, a ja w tym czasie, jak ciebie nie będzie, uprowadzę ci najpiękniejszą. Oj, będziesz wył, ale będzie za późno.

Ale i żyd śmiał się za drzwiami, mrucząc pod nosem.

— Czekaj, złodzieju na piękne dziewczęta, a ja tymczasem odwiozę do Lwowa Jakóba i Małkę, a potem w połowie września wywiozę Ksenię i co najurodziwsze branki do Carogrodu. A przywiozę stamtąd kilka starszych niewolnic do posługi, z nich to wybierzesz sobie jedną.

Czas upływał szybko, już sierpień miał się ku końcowi, gdy Chmielnicki, który zupełnie głowę dla Kseni stracił, chcąc się upewnić, czy go Orun lub Jeryna nie oszukują, pytał się piastunki natarczywie, czy nie wie, kiedy żyd wyjedzie.

Jeryna odpowiedziała, że z pewnością w połowie września; bo choć dobrze wiedziała od Małki, że Orun odwiezie syna i ją na początku tego miesiąca, to przecież przezorna kobieta chciała zyskać kilkanaście dni czasu, aby mogła wraz z Ksenią uciec za granicę Sarmacji, nim się książę o ucieczce dowie.

Ponieważ to, co mówiła Jeryna, zgadzało się z tem, co Orun powiedział, przeto Juraś uwierzył święcie obydwom i tylko dni liczył, a cieszył się, że tak łatwo oszuka żyda i wierną piastunkę.

Im więcej zbliżał się dzień ślubu Małki, tem Jeryna była niespokojniejszą. Ucieczka z odaliku Oruna była wcale niełatwą, więc trwoga przejmowała biedną kobietę. Najpierw ani ona ani Ksenia nie miały pieniędzy; potem uciekać musiały pieszo przez step pusty, bezludny, po którym włóczyły się tylko liczne bandy Lipków, Kozaków i różnych łotrzyków, a na domiar złego nie znały dobrze drogi. Nadto ucieczka wywoła popłoch w odaliku, może się po mieście rozniesie i książę się dowie, a wtedy niewątpliwie wyszle pogoń za zbiegłemi, która je napewno dogoni. A nawet samo wydostanie się z domu było niezmiernie trudne; baczne dozorczynie nie spuszczały dziewcząt z oka i strzegły pilnie, nie pozwalając wieczorem wcale wychodzić, zwłaszcza gdy żyd gdzie odjechał.

Było się więc czego troskać i obawiać, ale tak Jeryna jak Ksenia pokładały wielką ufność w Bogu i nie przestawały wołać do Najśw. Panny o pomoc.

Wśród trwogi i niepokoju nadszedł początek września.

Pewnego dnia otrzymał książę wiadomość od starościny, że wyruszyła z Międzyborza. Zaraz wysłał więc oddział swojej hołoty nad granicę Sarmacji, aby panią Dorotę bezpiecznie przeprowadziła do Niemirowa, bo obawiał się o skarby, które był pewien, że starościna przywiezie ze sobą.

Ona zaś kilka dni przed odjazdem, dobyła wszystkie pieniądze, kosztowności i srebra, które długo leżały w skarbcu ukryte, i zapakowawszy je na wozy, wyprawiła wszystkie do pana Błockiego, prosząc go, aby posag Handzi zatrzymał, dopóki książę już jako małżonek panny Boguszanki nie przyśle po niego.

Następnie zabrawszy na wozy wyprawę Handzi, nieco pieniędzy i najpotrzebniejsze graty ruszyła pani Dorota w świat, ku nieznanym kolejom i losom, zostawiając za sobą dom, gdzie tak długo była panią szanowaną, szczęśliwą.

Przybywszy do Niemirowa, zdziwiły się obydwie kobiety niezmiernie, widząc wszędzie pustkę, ruinę, nieład, nędzę prawie. Nie tak one wyobrażały sobie stolicę książęcą. Szczególniej Handzia chmurna była i rzekła do matki:

— To ma być mieszkanie księcia? Toż u nas, w Międzyborzu, o wiele wspanialej!

Starościna udała, że nie słyszy i ledwo wypoczęła nieco, przybrała się w ozdobne suknie i córce wystroić się kazała, jęła wołać na Iskrę, aby je do księcia prowadził.

Juraś czekał na starościnę w najpiękniejszej sali, siedząc na książęcym tronie, ubrany w najpiękniejsze jakie tylko miał szaty. Zachar wprowadził kobiety i został przy drzwiach; w komnacie oprócz księcia nie było nikogo więcej.

Starościna zbliżywszy się do Chmielnickiego, pokłoniła mu się wraz z córką nisko, a on rzekł:

— Witam waszmość panią starościnę i nadobną jej córkę. Długoś waćpani kazała czekać na siebie, a nam się tu bardzo przykrzyło to czekanie.

— Chciałam wykonać rozkaz Waszej Książęcej Mości, więc szukałam kupca na Międzybórz, ale że to granica tuż przy majątku, o kupca trudno.

— Wierzę — odrzekł książę — co się zaś tyczy posagu panny Boguszanki, zawartego w pieniądzach i kosztownościach, to waćpani oddaj takowy Zacharowi do mego skarbca, tam będzie bezpieczny.

— Mało ja tu przywiozłam — zawołała pani Dorota — i to ino rzeczy mnie i córce koniecznie potrzebne, bo pan Błocki, opiekun starościanki a obecnie Handzi, wzbraniał się wydać posagu przed ślubem.

Chmielnicki poczerwieniał tak, że zdawało się, iż go krew zaleje; długą chwilę siedział w milczeniu, pasując się z wściekłością, aż w końcu Zachar przerwał złowrogą ciszę.

— To pan Błocki znowu klucz zabrał? — spytał — bo powiadałaś waćpani, że ci go oddał po pogrzebie starościanki.

— Tak jest; ale teraz stanowczo się oparł wydaniu posagu, który mówi, odda tylko w ręce mężowi młodej dziedziczki.

— O! to się pan Błocki ucieszy — odezwał się nareszcie Juraś ze strasznym śmiechem — gdy się dowie, że starościanka Silnicka żyje i że prawej dziedziczce będzie mógł skarb oddać.

Pani Dorota spojrzała zdumiona, a po chwili rzekła:

— Po co się pan Błocki ma dowiadywać o tem, co... dawno zostało pogrzebane.

— Widzisz waćpani — mówił Chmielnicki, zawsze z tym złowieszczym uśmiechem — ja dziś książę, pan sprawiedliwości, przestrzegać muszę i... będę! — A czyby to było sprawiedliwie mścić się na starościc i jego córce, kiedy mi oni nic złego nie uczynili? Powiedz waćpani sama!

— Jak to? Co Wasza Książęca Mość mówi! — A krzywda ś. p. ojca Waszej Wysokości? A krzywda mej siostry? — spytała pani Dorota.

— Nie pan Silnicki skrzywdził mego ojca, bo on Zofki nie chciał; tylko skrzywdziła go waćpani siostra, gardząc jego miłością.

— Nie odważyłabym się z Waszą Cześcią spierać — odparła starościna — ale tak myślę, że niema o czem mówić, skoro Ksenia Bóg wie, gdzie jest i co się z nią stało.

— Starościanka jest tu blisko, w Niemirowie.

Pani Dorota pobladła i nogi pod nią zadrżały; ogarnął ją wielki niepokój i przeczucie jakiejś strasznej zdrady, szepnęła przecież:

— Wasza Książęca Mość raczy drwić ze mnie.

— Wcale nie. Panna Silnicka tu jest, widuję ją często i miłuję z całej duszy. A śliczna to dziewica jak kwiat świeżo rozwity! A wspaniała jak królewna! To żona dla księcia, to monarchini prawdziwa! Bo to przecie i urodzona znakomicie i spokrewniona z najpierwszemi w Polsce domami i bogata niezmiernie. Przecie oprócz wszystkich skarbów po panu staroście dostanie huszczyńskie i międzyborskie dobra, a to prawdziwie książęca fortuna. Niema drugiej panny, którąby tak godną była zostać żoną księcia Sarmacji jak starościanka! Wszystkie dziewki, które znam, ledwo się na służebne do niej nadają.

Domawiając tych słów, zwrócił się Chmielnicki ku Handzi tak wyraźnie, że nie można było wątpić, iż ją ma na myśli.

Tego już było za wiele dla pani Doroty. Nie nawykła nigdy ulegać i uniżać się przed kimkolwiek, dotknięta w swej miłości macierzyńskiej, zapomniała, przed kim stoi, więc spytała wyniośle, brwi marszcząc:

— Cóż mają znaczyć te niewczesne żarty?

— Co mają znaczyć te żarty? — wrzasnął książę z wściekłością i zerwał się z krzesła. — To mają znaczyć, że nie waszej starej i brzydkiej dziewce być księżną; raczej piece wymiatać jej przystoi! A dalej mają jeszcze znaczyć, że nie na starościance mścić się będę, ale na waćpani, boś ty zdrajczyni. Wyrzekałaś na Lachów, a jednak wbrew mojej i Zachara woli poszłaś za Lacha, choć przysięgłaś mnie słuchać we wszystkiem. Zostawszy zaś za moją radą i z moją pomocą starościną, nie chciałaś nam pomóc w zdobyciu skarbów starosty, a mnie pieniądze były tak potrzebne! Teraz znowu nie chciałaś sprzedać Międzyborza, nie chciałaś wydać posagu i jeszcze śmiesz tu kłamać, że to pan Błocki dać nie chce?!

Tu Chmielnicki przyskoczył do pani Doroty i wołał, tupiąc nogami:

— Ha! Stara wiedźmo! Tak to dotrzymałaś przysięgi? Ale kara na cię już gotowa! Starościanka będzie moją żoną, prawnie wezmę cały olbrzymi majątek po staroście, bo nawet dobra nad Dnieprem będą moje, gdyż pułkownik nie żyje. Ale ona nieboga, śliczna Ksenia jęczy u Oruna w niewoli; żyd ją kupił, lecz ja ją wykupię. Ja książę — mówił dalej szyderczo Juraś — i żyda skrzywdzić nie chcę, więc za pannę Silnicką zapłacę Orunowi tobą stara i twoją córką. Żyd będzie piszczał, bo wyście obie jednego paluszka Kseni nie warte, ale przecie będzie miał dwie za jedną, nie powinien się skarżyć. Ha, ha, ha! — zaśmiał się książę rad ze swego pomysłu, a potem dodał wzruszającym się głosem: Szykujże się waszmość pani starościno! Pójdziesz do haremu podłogi myć, podwórza zamiatać, w kuchni posługiwać. — A twoja dziewka... no, ta może się wreszcie spodoba.

— Potworze! Morderco! Złodzieju! — wrzasnęła nagle starościna, która na chwilę odeszła prawie od siebie z rozpaczy, a teraz chciała się rzucić na księcia, lecz Handzia przytrzymała jej ręce. — Puść mnie! — krzyknęła — ja muszę zgnieść tę podłą gadzinę! Tego nikczemnego oszusta! Kto to mnie podjudzał do zbrodni? Kto przywodził do grzechu? Ty, ty, tylko ty, szatański synu! Mogłam być cnotliwą, spokojną, szczęśliwą, tyś mi odebrał wszystko, tyś mnie pchnął do zbrodni! A teraz urągasz mi, grozisz i krzywdzisz? Bodajś zmarniał! Bodaj cię ziemia pożarła! Bądź przeklęty!

— Matko, nie przeklinaj! Nie złorzecz! Bóg sam pomści się nad nim, jak się pomścił nad nami — zakrzyknęła Handzia i objęła ramionami starościnę, która padła zemdlona.

Rozpacz, żal i gniew nadały jej głosowi i słowom tak straszliwą potęgę, że książę i Zachar stali zdrętwieni, nie mówiąc ani słowa. Dopiero na głos Handzi ocknął się Juraś, zgrzytnął zębami, zacisnął pięści i syknął:

— Ty milcz! Byś na straszniejszą nie zasłużyła karę, jak że będziesz niewolnicą w haremie.

Handzia pobladła, wyprostowała się, rękę podniosła do góry i rzekła:

— Strzeż się Mości Książę! I nie zapominaj, że jest Bóg, straszny mściciel, który długo znosi zbrodnie, aby tem silniej uderzyć niepoprawnego zbrodniarza!

Oczy Chmielnickiego zapałały ogniem wściekłości, piana ukazała się na ustach, gdy ryknął:

— Cicho puszczyku! Albo cię... Hola, jest tam który? — dodał zwracając się ku drzwiom. — Wrzućcie tę zuchwałą dziewkę i tę przeklętą babę do narożnej izby. A pilnować ich, bo głową odpowiecie.

Kilku żołnierzy, którzy na krzyk księcia wpadli do sali, wykonali wnet jego rozkaz, uprowadzając nieszczęśliwe kobiety.

Chmielnicki zaś drżąc ze wzruszenia skinął na Zachara i razem z nim opuścił salę.

W tym samym czasie, gdy się to działo na książęcym dworze, Małka jako w wilję swego ślubu krzątała się w małym domku frontowym pomagając Oruokienkiem do większego nieco pokoju, w którym Orun nowej robić przygotowania do podróży.

Gdy nareszcie stara żydówka ułożyła się na sofie, aby wypocząć i przespać się trochę; Małka wyszła do drugiego pokoju spakować ostatnie drobiazgi.

Z izby, do której weszła, były drzwi z małem okienkiem do większego nieco pokoju, w którym Orun przyjmował swych gości.

Zaledwie dziewczę zamknęło drzwi pokoju, gdzie Orunowa spała, doszedł jej uszu głos Oruna rozmawiającego z kimś drugim. Zaciekawiona żydóweczka wejrzała okienkiem i zdumienie odbiło się na jej twarzy. (Ciąg dalszy nastąpi).

Ludzie podziemni.

I.

W ciemnych kurytarzach uwijali się ludzie zgarbieni, pchając wózki z węglem, dźwigając wykolejone, rwąc bryły czarnego skarbu — zasmoleni, oblani potem. Krew uderzała w skronie, jak oskarb o ścianę pokładu węgla, uporczywa myśl wysiłku wśrubowała się w mózg, jak świder w czarny złom brylantu, aby go rozsadzić hukiem dynamitu i wypluć na powierzchnię ziemi — wygrzebać, jak kret. Czarny wysiłek, jak węgiel, przytłaczał ludziom plecy, giął karki, prężył postronki żył i muskuły.

Franek robił dzisiaj za dwóch. Zapamiętał się w pracy i trwał tak oblany potem pomieszanym z lepkim pyłem węgla. Na rzucane pytania kolegów do niego, nie odpowiadał nic. Robił, jak ten koń w kopalni, który nigdy nie ogląda światła słonecznego, aż do starości, na starość, gdy go wyprowadzą na powierzchnię — ślepnie. Wydawało się Frankowi, że koń w kieracie codziennej mozolnej pracy jest szczęśliwszym od niego. Szeptał tylko cicho: „zdechnę lepiej w pracy, aniżeli mam dalej patrzeć na szczęście, które ukochałem, a które odbiera mi najbliższy kolega pracy. To nie jest pieniądz, z którego drwię; bo mnie pożera. To jest dusza moja! Kto potrafi żyć bez duszy? Kto? — „Psia krew!“ I taka fala goryczy i złości zalała mu serce, że motał się wśród ogromnych brył węgla, jak olbrzym i ciskał je na wózki, jak źdźbło lichej trawy — tylko jęczały. Z podziwem patrzał na niego wąsaty „sztygar“ ćmiąc fajkę.

— Szkoda go! Tęgi górnik. Marnuje się przez tę głupią miłość. Oj! młodzi, młodzi! — I odszedł z tą uwagą, jak znający mędrzec duszę ludzką i splunął z godnością przed siebie.

Franek bowiem już od paru dni nie wiedział, co z sobą zrobić Zapamiętywał się tylko w pracy, jak gdyby chciał w niej utopić ogrom swojego bólu i goryczy. Zakochał się bowiem w dziewczynie pięknej i młodej i wszystkoby się dobrze ułożyło dla niego, gdyby nie jego kolega, którego obdarzyła dziewczyna swoją wzajemnością i młodem sercem, a na Franka już patrzeć nie chciała. Franek wiadomo: chłopak dobry, pracowity, silny, ale nie dorównywał tamtemu inteligencją, piękną twarzą i wymową, które to zalety mają to do siebie, że łapią dziewczynki, jak przynęta rybkę. Czepiały się Franka ostatnie jej słowa, jak złośliwe szerszenie: „może! gdyby go nie było, gdyby wyjechał, możebym zapomniała — wtedy możebym była twoją? Nie wiem?“

— Tak! gdyby go nie było! Wiem! Wiem! Stękał Franek. Filary trzeszczały w sobie gniecione okropnym ciężarem ziemi. Kurytarze skrwawione mdłem światłem „karbitek“ stękały głucho, wózki tłukły się po szynach, dynamit eksplozją rwał bryły. Ludzie mocowali się z naturą. Obok Franka pchał wózek jego rywal. Popatrzał na Franka i zagadał do niego. Franek nie odpowiedział nic, łypnął tylko białkami oczu nabrzmiałemi krwią i mruknął: nie będzie cię! Roztrzaskam ci głowę, jak bryłę węgla na miazgę! I podniósł olbrzymi głaz, aby cisnąć w kolegę. Nie było na szczęście nikogo, górnicy bowiem popchali wózki dalej, a ostatni pchał „on“ — jego nieszczęście. — Powie: oderwał się złom węgla od sklepienia i szlus... Podniósł go nad głowę z rozmachem, aby go cisnąć muskularnemi ramionami, jak z katapulty w czaszkę kolegi. — Cisnął go jednak na wózek. — Jutro! jutro! — jest czas. Naciesz się jeszcze nią do jutra. Był siny.

II.

— Wiesz? Miałam straszny sen Józieczku! — szepnęło dziewczę o kruczych włosach i białą ramienia otoczyła muskularną szyję chłopca, jak otacza wątła łodyga chmielu pień dębu.

— Co za sen? — Sen mara...

— Wiesz, śniło mi się, że szedłeś koło kopalni ze mną wieczorem i kiedyśmy się żegnali, zobaczyłam człowieka, który miał twarz kościotrupa i on uderzył cię ogromnym młotem w głowę i zabił. Wiesz — krzyczałam tak, że się obudziłam! Była godzina 4 rano.

— Ha! może mnie zabije Franek (wygląda na to) przecież nie odzywa się do mnie już nic. Złość go dzierży mocno i nie puszcza. Jest straszny w swojej ogromnej sile. Wczoraj któryś z kolegów powiedział mu złośliwie, że szaleje za tobą, a nie ma za kim, to cisnął nim o wózek i byłby mu żebra połamał. Boję go się! Ale mam obronę.

Pokazał mały rewolwer systemu F. N. 12 naboji. Przytuliła się do niego, jak kotka przerażona. Potem wyrwała mu się z objęcia i krzyknęła: „Jezus! Marja! jacy wy jesteście straszni!

III.

Bili nowy kurytarz. Robota szła tępo. Świdry tępiły się o twarde pokłady węgla, dynamit mało odrywał bloków czarnego ścierwa. Sztygarzy klęli, górnicy pocili się i opadały im ręce. Sklepienie rysowało się groźnie, stemple giely się pod ciężarem jak nogi ludzkie. Lampy nie chciały się palić. Ostrzeżono robotników, aby pracowali ze zdwojoną czujnością i ostrożnością, gdyż za tą grubą warstwą węgla o dziwnie wysokiej skali twardości musi być gaz. Gaz to śmierć dla robotników. Gaz! ogień. Niedowierzano jeszcze, ale przypuszczano. Inżynierowie obliczali, mierzyli, kreślili — liczyli. Wentylatory pracowały. Dano górnikom lampy gazowe. Ubrania azbestowe. W „pogotowiu gazowem“ wisiały na szyji robotników maski gazowe ze specjalnemi pochłaniaczami, przez które nie przejdzie do płuc. Tlenek węgla czyli czad, groźny wróg. Franek kombinował: „na wypadek gazu będzie dość rozbić lampę gazową o ziemię, a „szyb djabli wezmą“. Ręce mu drżały, mózg pracował tępo, uporczywie nad zemstą, śmiercią, zniszczeniem. Pracowali już tak dobrą godzinę, kiedy nagle z lewej strony kurytarza poczęli górnicy uciekać po „pochylni“ chodnikiem „D“ do szybu zapasowego. Gaz! Gaaaz! Ropa — krzyczano! Za nimi biegł także Józek. Franek ułożył błyskawicznie plan: „zatrzymać go, podpalić ropę i szyb i rzucić go w płonącą ropę, która wylewała się, jak wulkan z bocznego kurytarza. Błyskawicznie skoczył do Józka, ale w ręce Józka błysnęła lufa rewolweru i padł strzał, a za nim eksplozja gazów i huk walącego się sklepienia.

IV.

Górnicy pośpiesznie wyrzucani na powierzchnię pracującemi windami, przerażeni biegali po szybie i szukali jeden drugiego. Rachowali! Rachowali, kogo brakuje? — Józka i Franka nie było. „Kto śmiały, na ochotnika do mnie!“ — krzyczał stary wąsaty sztygar. „Ratować tamtych!“ Kilku górników zjechało windą na dół. Nałożono maski, w rękach błyskały lampy elektryczne i oskarby. W chodniku „D“ spotkali Franka, który oparty o ścianę węgla oderwaną od sklepienia i tępo patrzał na odgradzającą go ścianę od kurytarza, w którym paliła się ropa. — Tam Józek! Skoczono do niego „Gdzie Józek?“ — pytano.

— Tam! — wskazał na ścianę, która zagrodziła murem węgla wszystko. — I roześmiał się dziko! „Co robić? Co robić?“ Kto go wyratuje? — lamentowano.

Franek patrzał tępo przed siebie i po chwili skurczył się w sobie, przez szybki okularowe patrzał strasznemi oczami.

— Ja go wyratuję! Niech wie ścierwo, że nie chcę jego nieszczęścia, ani szczęścia. Mnie chciał zabić! Niech wie, że mam serce i duszę, że mam jedną osobę, która mnie też kocha, nią jest matka moja.

Zrozumieli go. Ułapił obiema rękami olbrzymi głaz węgla i zatrząsł się w sobie. „Ten tylko odwalić, a wejdziemy do kurytarza palącego się". Złom drżał w żelaznych jego ramionach. Jeszcze jeden wysiłek. Jeszcze jedno pchnięcie... Franek odwalił głaz. Buchnęło dymem i ogniem. Górnicy cofnęli się w tył za stempel. Nie wejdą. Z przerażeniem patrzyli, jak Franek zniknął w płonącym piekle. „Nie wyjdzie chyba, nie wyjdzie" — jęczeli. Próbowali wtargnąć się za Frankiem, ale cofnęli się przed obliczem niechybnej śmierci. Wreszcie dym przysłonił wszystko. Brak tlenu. Odwrót. A jednak ukazał się Franek w otworze wyrwanym przez siebie i rękami przesuwał zemdlone ciało kolegi. Pochwycili go! Wynieśli. Azbestowe ubrania nie spopielił płomień, więc ocaleli. Ręce poparzone świadczyły tylko.

V.

Zamurowywano prędko chodniki, aby zdusić pożar przed zniszczeniem całego szybu! Na powierzchni tysiąc robotników szukało Franka. „Gdzie nasz bohater? Gdzie nasz Franuś?" — krzyczeli. Szukała go także szlochająca Zosia, której się serce odmieniło, chciała mu się rzucić na szyję i nagrodzić jego krzywdę. Wszak on uratował tego, którego mógł zabić, zniszczyć. Rzucić w płonącą ropę. Zmrok sypał się już, jak piasek na ziemi. Syreny jęczały przenikliwie, a Franka nie było nigdzie. Gdyby spytali się drzew przydrożnych, które o milę rosły koło gościńca idącego na Tyniec, powiedziałyby te drzewa, że szedł przed godziną z głową obwiązaną i rękami poparzonemi, wpadł do matki swej staruszki i ze słowami „zemściłem się na Józku" padł zemdlony na ziemię.

Wincenty Kuglin.

LEGENDA O ZASYPANYM GÓRNIKU.



Jedną z najpiękniejszych legend, specjalnie także do wielickich tylko kopalni przywiązaną, jest legenda o zasypanym górniku.

Pewnego górnika zasypało raz w kopalni. Jedna ze ścian chodnika świeżo wykopanego do komory runęła, odcinając nieszczęśliwego od świata żyjących. Rozpaczająca nad okropnym losem męża swego żona górnika uciekła się pod opiekę Pana Jezusa i codziennie przed obrazem Jego w kościele farnym w Wieliczce zapalała świece, błagając o ratunek. Po upływie roku górnika odkopano i ku największemu zdumieniu znaleziono go żywym i zdrowym, zajętego pracą nad wydrążaniem solnej ściany. Opowiadał on, że codziennie przez cały czas swego zasypania jawił mu się obraz cudownego Chrystusa, przed którym paliły się świece woskowe. Pan Jezus występował z ram obrazu i podawał zgłodniałemu bochenek chleba. Nabożna ofiara biednej górniczki uratowała w ten sposób nieszczęśliwego od okropnej śmierci głodowej. Odtąd utrzymuje się w Wieliczce stałe zwyczaj palenia świec przed obrazem cudownego Jezusa, ilekroć nieszczęście nawiedzi kopalnie lub poszczególnych pracujących w otchłani górników.

Na tle, podobnież religijnem, osnute jest podanie o pokutującej duszy. Na jednym z obrazów Stachiewicza, mających za przedmiot Wieliczkę, widzimy nyszę górników, t. j. miejsce, gdzie zazwyczaj w południowej porze schodzą się na t. zw. południe, celem odpoczynku i spożycia obiadu. Otóż wieść niesie, że pewnego razu podczas południa z rozpadliny skalnej cześnie dał się słyszeć głos przyciszony: „dajta chlecześnie dał się słyszeć głos przyciszony: „dajta chleba", „dajta światła". Wołanie to powtarza się podobno stale w pewnych odstępach czasu. Wówczas, wedle tradycji,, a za poradą starszych górników, zgromadzeni klękają i odmawiają „Anioł Pański" i „Wierzę w Boga", poczem natychmiast widzenie to znika i głos milknie.

Między górnikami znaną powszechnie i popularną jest także legenda o Bieliczce, czyli białej damie. Jest to również jeden ze stałych duchów kopalni wielickich. Wyobrażają go sobie górnicy w postaci niewiasty o białem jak kreda obliczu, w śnieżnej białości sukni, przepływającą powiewnie po ustronnych krużgankach kopalni. Nie wyrządza ona nigdy nic złego górnikom. Raz wdała się owa Bieliczka w rozmowę z pewnym górnikiem, którego szczególniejszą otoczyła opieką i opowiedziała mu swoje koleje, prosząc, aby ją zaniósł na słońce. Górnik wziął ją na ramiona i, nie czując wcale ciężaru, poniósł pod górę. Skoro tylko pierwsze promienie słońca na nią padły, zamieniła się biała dama w słup soli i runęła napowrót w otchłań kopalni.

Wyprawa po rozbitków „Czeluskina".

Nie tyle może z chęci uratowania życia tym nieszczęśliwym uczonym, ile może z chęci osiągnięcia światowej sławy, lotnicy sowieccy rozpoczęli w ubiegłym tygodniu wyprawy na samolotach do tego niebezpiecznego miejsca, w którem na ogromnej krze lodowej uczeni sowieccy rozbili obóz, oczekując z dnia na dzień śmierci czy to głodowej, z przemrożenia, czy też pochłonięcia w fale morskie z nadejściem cieplejszych dni i stopnienia lodów.

Szczegóły przebiegu uratowania 62-ch rozbitków ze statku „Czeluskin" według ostatnich wiadomości przedstawiają się jak następuje: Na przykładku Wan-

karen skoncentrowano samoloty Kamanina i Mołotowa, którzy przybyli z Anadyru oraz samolot Slepniowa, który przybył z Alaski. Równocześnie lotnik Lewoniewski przywiózł z Alaski zastępcę dyrektora północnej drogi morskiej Uszakowa. Samolot Lewoniewskiego nie mógł wziąć udziału w dalszej akcji ratunkowej z powodu uszkodzenia przy lądowaniu. Tegoż dnia wszystkie trzy samoloty Kamanina, Mołotowa i Slepniowa, z którym poleciał Uszakow, po 45 minutach lotu z Wankaren, wylądowały w obozie rozbitków. Kamanin i Mołotow natychmiast powrócili na kontynent z 5 rozbitkami. Slepniow pozostał celem naprawy lekko uszkodzonego przy lądowaniu podwozia. Akcja odbywała się przy 36 stopniach mrozu. — Uszakow spędził w obozie trzy dni, organizując akcję na miejscu. Ratunek przybył w samą porę, bowiem rozpoczęło się silne parcie lodów, które całkowicie zmieniło konfigurację obozu. Zwały lodowe zmiotły kuchnię, zniszczyły barak, połamały motorówkę, zmiażdżyły składy budowlane oraz strzaskały lotnisko, na którem stał samolot Slepniowa.

Następnego dnia rozbitkowie przeciągnęli samolot na inne doraźnie przygotowane lotnisko, odległe o 1 i pół klm. 10 kwietnia Kamanin odbył lot do obozu, przywożąc na kontynent 3 osoby.

Tegoż dnia Slepniow naprawił aparat i uratował 6 osób. Mołotow odbył dnia 10 b. m. 3 loty, ratując 13 osób. Slepniow 10 b. m. odbył pozatem 6 lotów z Wankaren do Wellen, przywożąc w drodze powrotnej paliwo dla pozostałych samolotów.

11 kwietnia Kamanin latał 3 razy, ratując 15 osób, zaś Mołotow 4 razy, ratując 20 osób m. in. Mołotow dostarczył do Wankaren ciężko chorego prof. Schmidta wraz z lekarzem Nikitinem. Prof. Schmidt ma przeszło 39 stopni gorączki i ma zostać wywieziony przez Slepniowa do szpitala na Alasce.

11 kwietnia lotnicy Doronin i Wodopianow przelecieli z Anadyru ponad górami anadyrskiemi, przyczem Doronin wylądował w Wankaren, a Wodopianow na przylądku północnym i dziś oczekiwany jest w Wankaren. Na wybrzeżu rozpoczęto ewakuację uratowanych na psich zaprzęgach do zatoki Opatrzności, dokąd przybyć mają okręty „Smoleńsk“ i „Stalingrad“.

Wszystkie osiedla nadbrzeżne od Wankaren do zatoki św. Wawrzyńca, poczyniły przygotowania na przyjęcie rozbitków. Do Wellen wysłano dotychczas 15 osób.

Wedle ostatnich wiadomości, jakie nadeszły z Moskwy, w obozie rozbitków „Czeluskina“ zostało jeszcze tylko 6 osób. Ogółem w kilku ostatnich dniach samoloty przewiozły 62 osoby.

Z powodu sukcesów lotników sowieckich w ratowaniu rozbitków zapanowała w całej Rosji radość, a gazety sowieckie zamieściły na naczelnem miejscu szczególne uznania i pochwały polskich dzienników.



MACIEK BZDURA GADA:

Gdziesik tam koło fujarowatych Mościsk, cy koło Suchy, cy Krzesowic, jest jakasik wieś co się zwie Babska Wieś. I nie wiadomo, cemu ta Babska Wieś tak się nazywa. Cy może dlatego, ze tam w tej wsi kiedysik były same baby, cy tez w tej wsi tylko same baby rządziły, tego clek nie wie, a niebosćka babka, co mi to opowiadała, tez mi tego nie rzekła.

I ta wieś musi się z cegoś insego nazywać Babską Wsią, a nie z tego, zeby w niej tylko same baby żyły bez chłopów. Przecie jakby w jakiej wsi chłopów brakło, toby wszyćkie baby jesce tego samego dnia z takiej wsi pouciekały do inksych wsi, gdzie są chłopy. Przecie to juz wiadoma rzec, ze bez chłopów baby radyby sobie nijakiej na świecie nie dały. Co inksego my chłopy. Przecie juz pirsy chłop co był stworzony na świecie, a co mu na imię było Hadam, żył sobie na świecie, za babami nie gonił i baby nie sukał.

W tej to Babskiej Wsi, jak mi to opowiadała niebosćka babka, namnozyło się pełno zydów, a wiadoma rzec, ze gdzie są zydy, to i karcmy tez być musą.

Ludziska w tej Babskiej Wsi strasecnie lubili chlać gorzałkę, chociaz widzieli, ze do nich bida coraz większa zacyna zazirać, ale skoro karcmy były, to tez do nich ludziska leźli i grajcary tracili.

Nie pomogło to, ze jak się upił jaki chłop, to babę sprał, ze lezała chora, a chociaz późni żałował i zarzykał się, ze pić juz nie będzie, to i tak polazł do karcmy, bo te karcmy były, to i cleka na kubek ciągły.

Był tez w tej wsi chłop, co się zwał Kukuła, co tez cięgiem do karcmy chodził, a jak się uchlał, to dalejze babie swojej gnaty rachować. Raz, okrutecnie baba zbita, posła na skargę do księdza proboszcza.

Ksiądz proboszc przywołał do siebie Kukułę i dalejze mu prawić kazanie. Kukuła zacął narzekać na karcmy i przyrzekł, ze do śmierci pić gorzałki nie będzie.

Jakiś cas Kukuła do karcmy nie chodził i gorzałki nie pił. Jakiegosik dnia baba chłopu rzece, ze żyją juz razem dwadzieścia pięć roków, to mozeby kumoski sprosić i wyprawić urocystość.

Chłop, jak to posłysał, zafrasował się co niemiara, bo wspomniał se o tem przyrzeceniu, ze do śmierci gorzałki pić nie będzie, a przy takiej okazyje bez picia przecie nie wytrzyma, tem więcej, ze na takiej urocystości będą tez i baby, co do złego namawiać są skore.

Zasumowała się tez i baba Kukuły, bo se wspomniała tez o tem przyrzeceniu, jakie chłop złozył, ze do śmierci gorzałki pić nie będzie.

Nareście chłop rzekł babie, coby się o nic nie frasowała, dał grose na wszyćko i na gorzałkę tez i na drugi dzień wybrał się do miasta. W tem mieście kupił se styry obrazy i powiesił w izbie na ścianie. Pirse trzy obrazy to byli jakisi królowie, a cwarty obraz, to była namalowana śmierć.

Jak się juz na urocystość kumotrowie i kumoski poschodzili i zacęli przypijać do Kukuły, a ze to zmyślny chłop, wziął Kukuła flachę, nalał kwaterećkę i obrócił się do wisącego na ścianie króla, rzekł na zdrowie i grzmotnął sobie jednego, późni drugiego i do trzeciego. Jak przysedł do cwartego obrazu, co widział namalowaną śmierć, nalał kwaterećkę, ale się obrócił i rzekł, ze do śmierci się nie napije, bo przyrzekał, ze do śmierci gorzałki pić nie będzie.

I tak sobie Kukuła jesce duzo razy z kwaterećki pociągał, a za każdym razem rzekł, co do śmierci gorzałki pić nie będzie i zawse tez cwartej kwaterećki nie wypijał.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Sudan II.

Sudan jak i wogóle wnętrze Afryki nie jest jeszcze dobrze znany. Są okolice, do których noga Europejczyka jeszcze się nie zapuściła.



Uchodzący z łupem rozbójnik sudański.

W sprawie odkrycia i poznania Afryki pierwsze miejsce wśród Europejczyków zajmuje Stanley, który w r. 1887 rozpoczął badanie Afryki. Przedtem bowiem Afryka była dla nas poprostu nieznana. Ze względu, że wyprawa ta w głąb Afryki była bardzo interesująca, opiszemy poniżej niektóre szczegóły tej niebezpiecznej wyprawy.

Stanley, rozpocząwszy badanie wnętrza Afryki, dobrał sobie sztab uczonych angielskich profesorów i oficerów, którzy na ochotnika do tej wyprawy się zgłosili. Do tejże wyprawy, tak dla bezpieczeństwa jakoteż jako tragarzy zabrał Stanley ze sobą 623 murzynów zanzybarskich, 135 Somalisów i 60 Sudańczyków. Stanley zabrał ich na okręt, opłynął przylądek Dobrej Nadziei i wysadził przy ujściu Konga. Stamtąd naprzód parowcami, potem pieszo podążyli w górę rzeki uzbrojeni, zabrawszy ze sobą większe zapasy amunicji i żywność, jak konserwy, suchary i t. p.

Wyprawa udaje się w górę rzeki Aruwimi, w kilka dni przybywa do Jambuja; tutaj zostawia Stanley 257 ludzi pod dowództwem Bartelott'a, do tej straży tylnej cała wyprawa miała się cofnąć w razie niepowodzenia. 28 czerwca 1887 Stanley udaje się dalej na północ.

Upływają całe miesiące, a żadnej wiadomości nie było od Stanley'a; krążyły głuche tylko wieści, iż zginął z całą wyprawą. Major Bartelott traci tymczasem wiele ludzi w Jambuja; po roku próżnego oczekiwania zamyślał w lipcu 1888 roku podążyć za Stanley'em, wyruszył nawet już w drogę, lecz został zdradziecko zamordowanym przez jednego ze swych żołnierzy. Towarzysz jego Jameson, osłabiony chorobą, nie mógł utrzymać w karności swych podkomendnych umarł wreszcie i cały obóz poszedł w rozsypkę.

Radzono w Anglji i postanowiono wysłać nową wyprawę, tym razem dla odszukania samego Stanley'a. Wtem w miesiącu marcu tegoż roku telegram z nad Kongo zwiastuje Europie, iż otrzymano także listy znakomitego podróżnika; w pierwszych dniach kwietnia listy zostały ogłoszone w dziennikach angielskich i powtórzone w innych.

Stanley przesłał dwa listy, jeden do komitetu, który się zajmował wyprawą, drugi do zięcia Livingstone'a; listy te, a szczególniej pierwszy, jest ciekawym i ważnym dokumentem.

Poniżej podajemy niektóre wyjątki z listu Stanley'a:

„Przednia kolumna, złożona z 389 ludzi wyruszyła z Jambuja 28 czerwca 1887 r. Pierwszego dnia, uszedłszy brzegiem rzeki mil dwanaście, dotarliśmy do Jamhude. Za naszem przybyciem tuziemcy podpalili swe wsie i korzystali z powstałego stąd dymu, aby zaatakować nasze forpoczty, które usuwały liczne przeszkody, ustawione przed pierwszą wioską. — Utarczka trwała kwadrans. Drugiego dnia szliśmy ścieżką, zwracającą się ku wschodowi. Ścieżką tą szliśmy przez pięć dni wśród osiadłej gęsto ludności. Tuziemcy używali wszelkich sposobów, aby nas trapić; przeszliśmy jednakże, nie straciwszy ani jednego człowieka. Spostrzegając, że ścieżka prowadzi nas zanadto w bok od właściwego naszego kierunku, zwróciliśmy się ku północnemu wschodowi, a 5 lipca natrafiliśmy znów na rzekę. Od dnia tego aż do 18 października szliśmy lewym brzegiem rzeki Aruwimi. Po siedemnastu dniach bezustannego pochodu, zatrzymaliśmy się dzień jeden dla odpoczynku. Dwudziestego czwartego dnia po opuszczeniu Jambuja, uciekło dwóch tragarzy. W lipcu zatrzymaliśmy się tylko dwa razy. Dnia 1 sierpnia umarł nam pierwszy



Chata dzikiego plemienia w Sudanie.

człowiek na dysenterję, jak na trzydziestoczterodniową podróż było to bardzo pomyślnie. Gdy atoli weszliśmy do pustyni, przez którą szliśmy dziewięć dni, cierpienia nasze mnożyły się i nastąpiło kilka wypadków śmierci. Rzeka w tym czasie była nam bardzo poley'a. Wtem w miesiącu marcu tegoż roku telegram sły nasze pakunki i towary, tak, że aczkolwiek nie tak pomyślnie jak w pierwszym miesiącu, postępowaliśmy jednak dość szybko naprzód.

Dnia 13 sierpnia przybyliśmy do Air-Sibba. Dzicy napadli nas; straciliśmy pięciu ludzi od zatrutych strzał. Ku naszemu wielkiemu zmartwieniu, porucznik Stairs został ranny; cierpiał mocno przez cały miesiąc, poczem jednakże przyszedł do zdrowia. Dn. 15 sierpnia Jephson, prowadzący część naszego oddziału, oddalił się z ludźmi swoimi od rzeki i zabłądził; połączyliśmy się napowrót dopiero 21 sierpnia. Dnia 25 tegoż miesiąca przybyliśmy do Air-jeli. Naprzeciwko naszego obozu wpadała do Aruwimi rzeka Nepoko.

Dnia 31 sierpnia spotkaliśmy po raz pierwszy oddział Manijemów, należących do karawany Uragowa albo Uledi-Balyuza, który był w służbie Speke'a. Od tej chwili rozpoczęły się nasze nieszczęścia; puściłem się drogą Kongo dla uniknięcia Arabów, aby nie wdawali się w konszachty z moimi ludźmi i nie namawiali ich do opuszczenia mnie, a oto napotkałem tu Arabów. Dwudziestu ludzi zdezerterowało po 3 dniach tego niefortunnego spotkania.

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Ojcze nasz!"

(Nowela).

Szedł z głową pochyloną, skuloną w ramionach, pochłonięty ciężkiemi myślami, które tłoczyły się mu w mózg i przyciskały swem ogromem. Przeszło od roku był bez pracy. Nie otrzymywał żadnych danin, zasiłków i... już nie miał nic do sprzedania. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, poszło już dawno w ręce handlarzy za kawałek chleba.

Po całodziennej wędrówce po mieście, o głodzie i chłodzie, w poszukiwaniu pracy, wracał do swej nory w suterenach. Będąc pod drzwiami swego mieszkania, przystanął niezdecydowany... Serce ścisnęło mu się boleśnie... Tam, za temi drzwiami, czeka z upragnienie mjego powrotu dwoje nieletnich dzieci. Czekają głodne biedactwa na powrót ojca, w nadziei, że im przyniesie coś do zjedzenia.

Z desperackim ruchem sięgnął za klamkę i silnie pociągnął... Drzwi skrzypły przeraźliwym zgrzytem, który ponurem echem odbił się w jego zbolałej duszy.

Wszedł... Wnętrze ubogiej izdebki tonęło w mroku wieczornym. Słaby promyk światła gazowej latarni z ulicy oświetlał skąpo nędzny barłóg, na którym kuliło się z zimna dwoje głodnych dzieciątek...

Wzrok dziewczynki i chłopczyka pobiegł trwożnie i z zaciekawieniem na wchodzącego ojca. On wszedł bez słowa, błądząc rozpaczliwym wzrokiem po nagich ścianach izdebki, nie mając odwagi zbliżyć się do dzieci.

Po chwili doleciał go z łóżka drżący, nieśmiały głosik chłopczyka:

— Tatusiu!

Drgnął i jak lunatyk poszedł do łóżka. Z wielką czułością pochylił się do ich twarzyczek. Wychudłe rączki obydwojga dzieci objęły miłośnie jego szyję, a tuż koło ucha usłyszał błagalną prośbę:

— Tatusiu, Stasiu głodny i Janeczka głodna, daj trochę chleba!...

Jakby obręczą żelazną żal go za gardło dusił... dusił okropnie... Upłynęła dłuższa chwila, nim się opamiętał. Drżącym ze wzruszenia głosem uspokajał dzieci obiecanką:

— Śpijcie dzieciaki, śpijcie, tatuś dziś chleba nie ma, lecz jutro napewno wam przyniesie...

I, aby odwrócić ich uwagę od tego przykrego tematu, począł się z niemi pieścić i zabawiać, choć dusza wyła mu z bólu patrząc na ich żałosne minki i błyszczące łezki, spływające po zmizerowanych twarzyczkach.

Starsza Janeczka nie chcąc ojcu robić przykrości i powiększać jego bólu, posłusznie ułożyła się do snu, lecz biedny ojciec słyszał, jak pod przykryciem cichutko płakała, wciskając piąstki do buzi, aby głośno nie zapłakać.

A biedny ojciec zastygł w ogromnym bólu i siedział jak głaz, nieporuszony, walcząc z rozpaczą i buntem, jaki w jego duszy szalał.

Dopiero na usilne prośby Staśka, dopraszającego się, aby odmówił z nim modlitwę wieczorną, poruszył się i jak automat począł odmawiać z chłopcem pacierze.

Chłopczyk z nabożeństwem złożył rączki i w ciszy nocnej popłynęły słowa modlitwy Pańskiej:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie".

I słowo za słowem ostro i tępo płynęło z zaciśniętych ust mężczyzny, powtarzane przez słaby głosik chłopięcy drżący błagalną nutą.

Chłopiec doszedłszy do słów „chleba naszego, powszedniego, daj nam dzisiaj", przerwał nagle i utkwił pytające ywzrok w twarzy ojca... — Jakby sztyletem w serce ugodził go wzrok dziecięcia... Zerwał się jak szalony i wybuchnął straszną obelgą.

— Nie kończ... nie kończ dziecko tej modlitwy! Bóg nas nie słucha... Boga niema! To Bóg bogaczy i lichwiarzy — i dalej jak nieprzytomny miotał straszne bluźnierstwa.

Wzburzony był do najwyższego stopnia. Dzieci już dawno posnęły, a on wciąż wściekły tłukł się po ciasnej izdebce jak zwierz rozjuszony. Do jego duszy począł kołatać szatan i podsuwać potworną myśl zamordowania dzieci i siebie.

— Tak, trzeba już raz z tem skończyć... Dość tej męki. Ja nie mogę patrzeć na ich śmierć głodową, mruczał złowieszczo.

Po chwili z niezłomnym zamiarem, ponury jak noc, ruszył do sionki, skąd wyniósł siekierę i z szatańskiem błyskiem w oczach zbliżył się do śpiących dzieci... Już podniósł do góry mordercze narzędzie, gdy w tem usłyszał cichutki głosik Staśka, mówiącego we śnie:

— Mamusiu, proś Bozię, by dał tatusiowi pracę, a nam chleba, a po chwili znów:

— Boziu, nie gniewaj się na nas i nie opuszczaj nas!

Równocześnie wzrok oszalałego ojca pobiegł na mały wizerunek Zbawiciela i ujrzał przesmutne oczy, patrzące nań z wyrzutem, jakby mówiły:

— Cóż chcesz uczynić nieszczęsny ojcze?

Wówczas w jego duszy jakby coś pękło, jakby łuska mu z ócz spadła i zrozumiał ohydę postępku, który chciał wykonać.

W bezmiernej podzięce Panu, iż go uchronił od popełnienia strasznej zbrodni, runął na kolana, by przebłagać Boga za swe bluźnierstwa.

I długo w tą noc słychać było jego gorący szloch i błagalną modlitwę o przebaczenie płynącą ze skruszonego serca przed tron Najwyższego.

Jak klęczał, tak w końcu zasnął śmiertelnie znużony nawrócony ojciec.

Nazajutrz skoro świt, z jakąś otuchą i nadzieją w sercu, pobiegł znów na miasto za poszukiwaniem pracy i poszczęściło mu się.

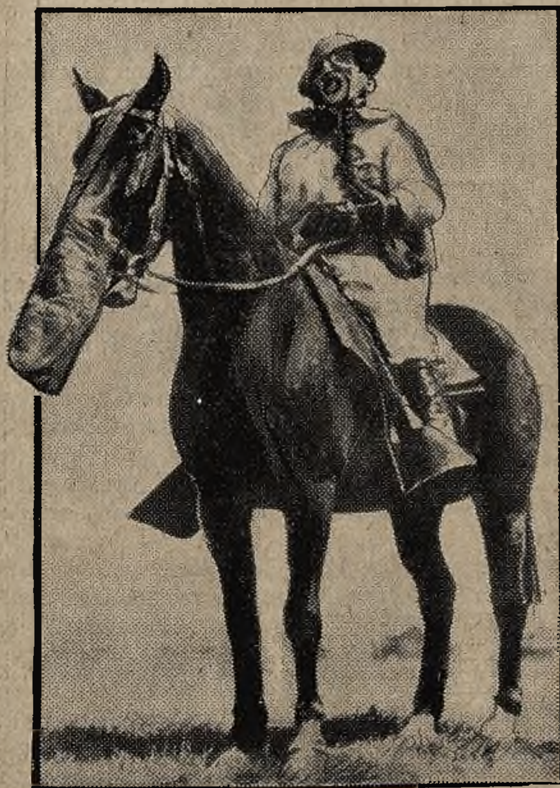
Przechodził właśnie przez ruchliwą ulicę, gdy zobaczył, jak jakaś staruszka została potrącona i byłaby niechybnie przejechana przez nadjeżdżający samochód, gdyby w ostatniej chwili nie wyrwał ją z pod kół samochodu.

Wdzięczna staruszka, dość wpływowa, wynagrodziła go hojnie i za jej protekcją uzyskał wkrótce posadę woźnego.

Tak to Bóg umie przebaczyć i darować winy skruszonemu grzesznikowi.

Antoni Kurek.

Nowożytny rycerz.



Czasy się zmieniają. Zamiast dawnej zbroji jeźdźca zaopatruje się obecnie w maskę gazową, a kopję zastępuje mu karabin. Z konia zdjęto piękne ozdoby i ochraniacze stalowe, lecz również, jak jeźdźca, zaopatrzono w maskę gazową. Tak wygląda dzisiejszy kawalerzysta amerykański w pogotowiu wojennem.

J. MOKRZYCKI.

W puszczy amerykańskiej.

(Powieść).

Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Słońce zeszło już z południa, gdy się zbudzili, w chwili, gdy James zbliżył się do drzewa i zluzował siedzącego na drzewie Otwockiego, który zszedłszy ze swego posterunku, wszedł do altany, aby też nieco wypocząć.

— Cóż tam w osadzie? — zapytał wchodzącego Georg.

— Spokojnie — odrzekł Otwocki. — Patrzyłem przez lunetę i zauważyłem dwu białych przechadzających się po majdanie, lecz rozpoznać ich nie mogłem z tej odległości. Ubranie tylko zauważyłem, że mieli europejskie.

— To Ader z jednym bandytą — zauważył James, bo ten drugi pozostał w puszczy. Oczekuje na rezultat poselstwa.

Na wspomnienie Adera stary Georg przybladł, — żyteczna; łódź nasza i kilka łódek mniejszych nienawiści.

Nie trwało to jednak długo, bo powstał, przeciągnął się, ziewnął i otwarłszy torbę, którą poprzedniego wieczora skądś przywiózł, począł z niej dobywać rozmaite przedmioty, że aż towarzysze zostali mocno zaciekawieni, do czego to wszystko służy. Były tam różne szmaty i chusty, był kapelusz z szerokiem półkołem piór sokolich, dwa noże w prostej drewnianej oprawie, toporek jakich używali Indjanie w ręcznej bitwie, wreszcie miseczka i pędzelki jakby do golenia, tudzież kilka tubek jakiejś twardej bezbarwnej masy, oraz parę małych flaszeczek z jakimś płynem, bez wyraźnego jednak koloru.

— Cóż to za aptekę przywiozłeś przyjacielu? — zapytał Wolski, widząc to wszystko. — Do czego to zdatne?

— Zaraz zobaczysz kapitanie — odrzekł i natychmiast zabrał się do roboty.

Najpierw wziął miseczkę, włożył do niej jedną tubkę, poczem odkorkował flaszeczkę, z której puścił na oną masę odrobinę zawartego w niej płynu, poczem mująwszy pędzel zaczął mieszać, następnie pędzlować całą twarz, ręce i nogi, które pod wpływem tego tarcia nabierały koloru bronzowego i wkońcu stały się zupełnie podobne do koloru skóry Indjan. Przeglądnąwszy się w małem lustereczku, uśmiechnął się z zadowoleniem, poczem spłukał czystą wodą miseczkę i włożył w nią inną tubkę, puścił parę kropel płynu z innej flaszeczki, powtórzył pędzlowanie, a następnie wypędzlował sobie włosy, aż nabrały koloru kruczo czarnego. — Wziąwszy znów jakąś masę w kształcie kawałka mydła, wytarł nią włosy, a następnie ręcznikiem przetarł do sucha, poczem włosy sperliły mu się na całej głowie niby wełna na baranie. Spłuknąwszy jeszcze raz miseczkę, rozpuścił jeszcze jeden płyn, którym umalował sobie wargi i twarz i ręce zupełnie tak, jak to czynią Indjanie i wreszcie zrzuciwszy swoje ubranie, przystroił się w strój indjański, że obecnie trzeba było bardzo wprawnego oka, aby w nim europejczyka rozpoznać. Dopełniło tego jeszcze uzbrojenie, które zupełnie odpowiadało indjańskiemu wojownikowi.

— Teraz rozumiem twoją wczorajszą podróż, oraz przywiezioną aptekę — zauważył Wolski z uśmiechem. — Teraz możesz chodzić bezpiecznie nawet koło namiotu samego Chytrego Węża.

— Na tem też polega całe powodzenie naszej imprezy — odrzekł stary. — Nie możemy nic przedsięwziąść, dopóki nie zbadamy, gdzie znajduje się branka a także ten bandyta, który nie śmie żyw pozostać. Najpierw zatem pójdę sam na zwiady, a następnie. gdy będzie potrzeba, pójdziemy wszyscy...

— Ja pójdę z tobą Georgu! — zawołał Wolski.

— Ani się waż kapitanie! — odrzekł twardo. — Wiem, że ci się spieszy, lecz musisz być cierpliwy. Stracić życie, a niczego nie dokonać, to nie warto.

— A jak ty zginiesz Georgu?

— To zostaniesz ty — odparł — i będziesz dalej ją ratował, lecz nie po to ja tam idę, bym miał zginąć. Niech ginie tamten. Lecz wy mi musicie we wszystkiem być ślepo posłuszni, jeśli chcecie, by impreza się udała. Otóż zostaniecie tu i będziecie czekać tak długo, dopóki się nie zjawię. Powiadam, ani kroku stąd, nawet gdybyście posłyszeli wrzawę i ruch w obozie, t. zn. gdyby mnie odkryli. W takim razie należałoby wam poczekać następnej nocy i dopiero próbować samym. Ja, o ile będę żyw, powrócę przed nastaniem dnia — o ile zaś do rana nie powrócę, znak to, żem zginął i wówczas już mnie nie szukajcie, lecz mówcie pacierz za moją duszę.

— Ach przyjacielu! — zawołał Wolski chwytając jego rękę — wiem, że masz rację i słuchać cię muszę jako lepiej doświadczonego — lecz ja tam być powinienem. Jeśli zginiesz, śmierć twą będę miał na sumieniu.

— Ach, widzę, że trzeba cię wyprowadzić z błędu — odrzekł stary. — Nie dla ciebie to robię — lecz mam osobisty powód do zemsty, ale o tem później. — Teraz czas w drogę.

Tymczasem zapadł zmierzch i wobec tego James zgramolił się z drzewa, gdyż nie mógł teraz już nic zobaczyć, Otwocki też przespawszy chwilę, podniósł się na nogi. Georg zaś popoprawiawszy jeszcze na sobie to i owo, pożegnał się z towarzyszami, poczem zwrócił się do wyżła, który kręcąc ogonem przygotowywał się także do drogi i rzekł głosem stanowczym i rozkazującym:

— Ty piesku pozostaniesz tu i będziesz czuwał. — zabraniam ci iść za sobą, aż cię sam przywołam.

Po tych słowach wyszedł, a Karo zwiesiwszy smutnie głowę, ułożył się pod ścianą altany, rozumiejąc widocznie rozkaz swego pana. Jakiś czas słychać było jeszcze kroki oddalającego się Georga, wreszcie ucichło wszystko.

XIII.

Zbliżywszy się do osady, przykucnął Georg w zaroślach, albowiem dużo jeszcze Osagów kręciło się po majdanie, niebezpiecznie jeszcze nawet w takiem przebraniu było pomiędzy nich się kręcić. Czekał dosyć długo, aż wreszcie może już koło północy zaczęło życie w obozie przycichać, coraz mniej ludzi po majdanie się kręciło, ogniska przygasły, świeciło zaledwie jedno przed naczelnym wigwamem, tudzież migotały światełka poprzez szpary niektórych namiotów i szałasów. Z naczelnego zaś wigwamu dochodził gwar pijackich głosów, snać odbywała się tam jakaś pijacka orgja.

Georg uznał, że już czas na poszukiwanie, porzucił swą kryjówkę i ruszył pomiędzy szałasy. Szedł od jednego do drugiego, lecz w żadnym nic podejrzanego nie zauważył. Po ciemnych zaułkach osady mógł chodzić śmiało i chociaż spotykał nie śpiących Indjan, nie został jednak rozpoznany, tembardziej, że zaczepiony przez którego, odpowiadał dobrze narzeczem Osagów i odchodził natychmiast nie wzbudzając podejrzenia.

Lecz do naczelnego wigwamu, gdzie płonął jasny ogień i jasno było jak w dzień, zbliżyć się obawiał. Wyczekiwał, że wreszcie może ogień przygaśnie, jednak jakoś nie zanosiło się na to, gdyż dwaj Osagowie ogień nieustannie podsycali, dorzucając co chwila chrustu i drew. Nie chcąc czasu tracić, przekradł się Georg od tyłu i zaczął poszukiwać jakiejś szpary w ścianie, przez którą mógłby niezauważony zajrzeć do wnętrza. Nie mógł jednak nic takiego dostrzec, gdyż chata wodza zbudowana była dość szczelnie, że żadne szpary nie przeświecały. Za to zauważył, iż sąsiedni szałas posiadał z tej strony liczne szpary, tak szerokie, że można przez nie zaglądnąć do wnętrza. Podkradł się tedy jak kot pod samą ścianę i wzniósłszy się nieco na palcach, zaglądnął do szpary, przez którą zewnątrz przebijało światło płonącej łojowej świecy.

W kącie szałasu zobaczył siedzącą w kuczki Indjankę, kiwającą się raz po razu z powodu drzemki niby żyd w bóżnicy na modlitwie — w przeciwległym kącie znajdowała się siedząca na pniaku biała niewolnica, w której rozpoznał stary Mirę Złotopolską.

Wystarczyło tylko wtargnąć do szałasu, udusić Indjankę, by nie narobiła alarmu i wymknąć się niepostrzeżenie z branką, a nimby się nazajutrz spostrzegli, można było byó już dość daleko, a potem schronić się do forteczki, o którąby sobie Osagowie z pewnością zęby połamali.

Jednakże wykonanie tej myśli natrafiało na niezwyciężoną trudność, a to z tego powodu, iż od frontu płonął ogień i widno było jak w dzień, nie można zatem było wtargnąć do szałasu niepostrzeżenie, z tyłu zaś nie było żadnego większego otworu, przez który możnaby się było przesunąć. Wprawdzie szałas nie był tak mocno zbudowany, jak chata naczelnika, można było z łatwością wyrwać i usunąć belkę ze ściany, lecz czynność ta nie mogła się odbyć tak cicho, by strażująca Indjanka tego nie zauważyła, zwłaszcza, że widocznie wcale nie miała zamiaru położyć się spać, bo drzemała tylko na kuczkach.

— Dałoby się jeszcze zrobić jedno — myślał Georg — a mianowicie podkopawszy się pod przycieś, dostać się cicho tym otworem do wnętrza. Lecz i to nie było wykonalne ze względu na pilnującą Indjankę.

Naraz przed naczelnym wigwamem rozległy się głosy kilku ludzi mówiących po niemiecku. Georg podsunął się ostrożnie i wyglądnął z za węgła. Przed domem stali czterej mężczyźni. Dwaj przybrani byli w strój Cowboy'ów, dwaj zaś inni mieli na sobie strój europejski.

— To dziwne, że Fryc dotychczas nie wrócił — mówił jeden z nich. — Przecież mając tak dobrego konia, do Filadelfji i z powrotem mógł już objechać.

— Może uległ jakiemu przypadkowi, mister von Ader? — odrzekł drugi. — Ja także sądzę, że powinienby już tu być.

Georg usłyszawszy te słowa, zaparł dech w sobie. Serce zaczęło mu bić jak młotem, już porwał toporek, by ciosem śmiertelnym przeciąć nić żywota tego bandyty, lecz nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymał się, albowiem chodziło tu o oswobodzenie branki, która to sprawa po zamachu na Adera stałaby się niemożliwą. Ze względu na to, zemstę osobistą odłożył na czas późniejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tretomobil.



Wśród licznych, nieraz dziwacznych pomysłów, na uwagę zasługuje uwidoczniony powyżej t. zw. „tretomobil“ razem z wynalazcą, który na tym przyrządzie siedząc, spaceruje po ulicach San Francisco.



Poradnik gospodarczy.

Uprawa koniczyny.

Do najważniejszych zasiewów wiosennych należy przed innemi koniczyna, jeżeli ma być posianą w zbożu ozimem, t. j. w życie lub pszenicy bez skródlenia lub walcowania na wiosnę. Ziarno koniczyny potrzebuje dużo wilgoci i dłuższego czasu do napęcznienia i kiełkowania; następnie młode jej roślinki powinny rozwinąć się i wzmocnić dosyć wcześnie, by oprzeć się uczkodzeniu przez drobne owady, a nareszcie nie dać się już przytępić zbytecznie od rosnącego coraz wyżej zboża.

Siew więc koniczyny w warunkach powyższych należy wykonać zaraz z początkiem wiosny, gdy minie obawa przed silnemi przymrozkami i gdy ziemia obeschnie już o tyle, iż można przejść po oziminie bez wtłoczenia jej w błoto. Uprawiamy zwykle trzy odmiany koniczyny, tj. czerwoną, szwedzką i białą, więc o każdej z nich osobno pomówić wypada.

Koniczyna czerwona, która dotychczas najwięcej jest rozpowszechniona, wymaga dla dobrego rozwoju swego ziemi zasobnej dosyć, zwięzłej, o głębokiej warstwie, uprawnej i średniej wilgoci. Korzenie tej rośliny sięgają dosyć głęboko, przeto muszą mieć podglebie odpowiednie, do któregoby się wcisnąć i pożywienie potrzebne znaleźć tam mogły. W takich warunkach koniczyna czerwona przetrwać może dwa lata, oprócz roku zasiewu, dając po dwa obfite pokosy. Rodzi się jednak, chociaż z mniejszym już pożytkiem, i na gruntach mniej głębokich i mniej zwięzłych, a nawet na piaszczystych, jeżeli nie są zbyt płytkie i mają dostateczną wilgoć w głębi. Role te jednak muszą być silnie nawożone, a pożytek będzie już w każdym razie tylko jednoroczny (nie rachując roku zasiewu), a to z powodu gorszego spodu w gruncie. Rodzi się najlepiej po roślinach okopowych, lecz również i po innych płodach sianych na nawozie, nie znosi tylko rychłego siania po sobie i wyczekać trzeba 6 do 7 lat nim ponownie zasianą być może, a to z powodu, iż wyczerpawszy pożywienie z warstwy głębszej, do której sięga korzeniami, potrzeba dłuższego czasu nim się ono tam znowu w dostatecznej ilości uzbiera.

Ziarno do siewu trzeba dobierać grube, świeże, t. j. przeszłoroczne i czyste, a przedewszystkiem wolne od kanianki zwanej także myłubem. Kolor nasienia powinien być więcej fioletowy, aniżeli białawy lub żółtawy. Grubem czyli pełnem powinno być ziarno dlatego, iż ziarnka szczupłe dają zwykle roślinki mniej silne, a nawet mizerne; nasienie stare, to jest dwuletnie, wschodzi zwykle znacznie gorzej, więc w razie konieczności użycia dawnego ziarna, trzeba wypróbować zawczasu, jaka jego część skiełkuje i stosownie do tego siać o tyle gęściej; nareszcie ostrożność przed zanieczyszczeniem kanianką powinniśmy zachowywać o tyle baczniej, iż chwast ten nietylko niszczy koniczynę, lecz nie wygubiony dostatecznie w polu, zostaje w ziemi przez długie lata i odnawia się przy ponownem zasianiu choćby zupełnie już czystego ziarna koniczyny. Kolor fioletowy nasienia jest dlatego pożądany, iż świadczy on za pierwszym już rzutem oka o należytem dojrzeniu tego ziarna.

Przy siejbie, szczególnie zaś w oziminie nieskrudlanej, nie trzeba zbytecznie oszczędzać nasienia, lecz dać go 3 do 4 garncy na morgę. Koszt większy opłaci się sowicie gęstością roślin, wskutek czego nietylko zbiór będzie obfitszym, ale nie dopuści do zachwaszczenia pola, gdyż chwasty nie znajdą już dostatecznego miejsca, ani też światła dla siebie, a siano z takiej koniczyny będzie mniej grube, zatem smaczniejsze i pożywniejsze.

Jeżeli siejemy koniczynę w pszenicy, która ma być skródloną na wiosnę, to musimy przeczekać aż ziemia podeschnie o tyle, iż nie będzie smarować się pod broną i lepić do jej gwoździ, a wtedy rozsiawszy nasienie, zawlec je należy dwa lub trzy razy. Nie potrzebujemy obawiać się, iż ziarno przykryje się zbyt grubo, gdyż ziemia ubłoczona przez śnieg w zimie, nie da się spulchnić bardzo głęboko.

Nieco odmiennie postąpić należy z przykryciem ziarna koniczyny, siejąc ją w zbożu jarem, czyli wiosennem, tj. w jarej pszenicy, w jęczmieniu lub owsie; tu już silne przywleczenie byłoby szkodliwem, gdyż ziemia bywa pulchna, zatem siać trzeba koniczynę po przykryciu już ziarna i przywlec raz jeden bronami lekkiemi, a najlepiej takiemi, które mają gwoździe, czyli zęby drewniane, lub też przeplecione gałązkami cierniowemi.

Pielęgnowania w roku zasiewu nie potrzebuje koniczyna żadnego, a nawet wskutek przerośnięcia jej zbożem nie byłoby to możebnem. W jesieni nawet, gdy się rozwinie bardzo bujnie, nie trzeba jej kosić, lecz spaść naprzód końmi, a potem bydłem lub owcami, przestrzegając jednak, by paszenie owo nie odbywało się nigdy w czasie wilgotnym, gdyż wskutek deptania uszkodzoneby zostały korony roślin i powstałyby zagłębienia, w których woda zatrzymywa-

łaby się zbyt długo. Bydło i owce wypuszcza się na koniczynę po opasieniu jej najprzód końmi dlatego, by przy zbyt bujnym poroście i łapczywem zjadaniu tej rośliny nie podlegały odęciu. Wskutek takiego wytłoczenia koniczyny w czasie suchym, czyli udeptania ziemi w około jej krzaków, wytrzymuje ona łatwiej zimę i daje w roku następnym plon o wiele większy, aniżeli gdyby była skoszoną w jesieni. Należy jednak zachować pewną miarę w wypasaniu i dozwolić jej odrosnąć nieco przed zimą, zatem z końcem już października, a głównie w listopadzie nie powinno się puszczać bydła na nią.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Moratorjum mieszkaniowe dla bezrobotnych przedłużone. W „Dzienniku Ustaw" ogłoszony został dekret P. Prezydenta Rzpltej w sprawie moratorjum mieszkaniowego dla bezrobotnych. Na mocy tego rozporządzenia moratorjum przedłużone zostaje na miesiące letnie b. r. do 31 października dla mieszkań jedno i dwuizbowych. W okresie zimowym ochrona przed eksmisją przewidziana jest na podstawie przepisów ustawowych, obowiązujących już dawniej.

161 wyroków śmierci. Na podstawie sprawozdań prokuratur wszystkich sądów okręgowych z działalności sądów doraźnych za okres od czasu ich prowadzenia, to jest od 1 września 1931 r. do początku b. r. sądy doraźne w tym okresie rozpatrzyły 255 spraw, przyczem poddano sądzeniu 457 oskarżonych. Na karę śmierci sądy doraźne skazały 231 osób. Pan Prezydent ułaskawił 60 skazańców. Na bezterminowe ciężkie więzienie skazano 154 Sądy doraźne przekazały do postępowania zwykłego 69 spraw. W trybie doraźnym zapadły wyroki uniewinniające w trzech wypadkach.

Tajne gorzelnictwo w wojew. krakowskiem. Urząd śledczy w Krakowie przeprowodził na terenie województwa krakowskiego, w okresie świąt akcję przedświąteczną walki z nadużyciami na szkodę państw. monopolu spirytusowego. Ogółem skonfiskowano 29 kompletnych aparatów gorzelnianych, składających się z kotłów, rurek, chłodnic i t. p., kilkanaście beczek zacieru, przygotowanego do pędzenia samogonki, większą ilość kiełkującego zboża i wywaru, oraz kilkadziesiąt litrów wyprodukowanej już samogonki. Winnych pociągnięto do odpowiedzialności.

Brat strzelił do brata. W Zabierzowie pod Krakowem podczas wynikłej sprzeczki między braćmi Brogami, jeden z nich Józef, strzelił z rewolweru do swego brata Stanisława, lecz chybił, poczem zbiegł. Zarządzono za nim poszukiwania.

Krwawe bójki parobków. Dnia 8 bm, w gminie Bibice pow. Kraków powstała bójka na tle osobistych porachunków pomiędzy kilkoma parobczakami, w czasie której St. Banaś zadał nożem kilka ran w głowę Stanisławowi Sieńce, który dnia następnego zmarł w szpitalu. Sprawcę przekazano sądowi.

W czasie zabawy urządzonej przez ochotniczą straż pożarną w Lisowie pow. Jasło powstała bójka pomiędzy kilkoma uczestnikami zabawy na tle zatargu o dziewczynę. W czasie bójki został ugodzony nożem Stanisław Grzywacz z Bączali Górnej, którego przewieziono do szpitala, gdzie zmarł. Sprawcę zabójstwa Władysława Jasienia przekazano władzom sądowym.

Pierwszy raz uwolniony, drugi raz zasądzony. Przed krakowskim sądem przysięgłych stanął w ubiegłą środę Leon Jedynak, oskarżony o to, że 18 czerwca ub. roku na drodze między Babicami a Kwaczałą koło Alwerni dokonał napadu rabunkowego z towarzyszem na handlarza nabiału F. Bergera, któremu zrabował kilkadziesiąt złotych. Towarzysz oskarżonego Sarnecki został zastrzelony w czasie pościgu. Jedynaka schwytano dopiero po pewnym czasie. Oskarżony wypierał się winy, jednak poszkodowany Berger już na rozprawie, która się odbyła w lutym, rozpoznał Jedynaka jako tego, który pobiegł za Bergerem, przewrócił go, a rozciąwszy nożem kamizelkę zabrał mu 45 zł. Mimo to na rozprawie w lutym br. został Jedynak uwolniony od winy i kary. Trybunał jednak nie puścił Jedynaka i wyznaczył ponowną rozprawę, na której Jedynak został skazany na 8 lat ciężkiego więzienia.

Straszna śmierć robotnika. W czasie przetaczania wagonów kolejowych na kopalni węgla Libiąż pow. Chrzanów, 54 letni Franciszek Boroń, przetokowy przy łączeniu wagonów upadł tak nieszczęśliwie, że zderzaki zmiażdżyły mu głowę.

Pożar lasu. W lesie należącym do p. Henryka Dolańskiego w miejscowości Waryś pow. Brzesko, powstał pożar, który zniszczył doszczętnie 7 hektarów 8 letniego lasu sosnowego. Przy pomocy okolicznej ludności pożar ugaszono. Ogień spowodowała prawdopodobnia młodzież z pobliskich gmin, która urządziła wycieczkę do lasu.

Postrzelił. Dnia 4 bm. w czasie bójki na tle zatargu o przejazd przez pole Józef Król z Roztoki, pow. Limanowa, postrzelił ze strzelby swego brata Macieja, którego przewieziono do szpitala w Nowym Sączu. Sprawę skierowano do sądu.

Burzliwa eksmisja z mieszkania. Onegdaj komornik lwowskiego sądu grodzkiego przeprowadził eksmisję w Hołosku Małem, gdzie usunął wyrokiem sądu z domu M. Szpali lokatora L. Marcinkowskiego z rodziną. Było to jeszcze przed okólnikiem p. ministra sprawiedliwości o wstrzymaniu eksmisyj. Eksmitowany Marcinkowski przybrał sobie do pomocy około 50 osób i przy pomocy tych ludzi wtargnął popołudniu z powrotem do mieszkania, które rano zostało przez komornika opróżnione, wyrywając kłódki. Wieczorem zaś gospodarz Szpala dobrał sobie do pomocy 100 gospodarzy z Hołoska, wpadł do mieszkania Marcinkowskiego, zdemolował cały dom, połamał drzwi i werandę, a rzeczy lokatora wyrzucił na bruk. W rezultacie rodzina Marcinkowskiego schroniła się u sąsiadów.

Widłami zamordował żonę. W miejscowości Biały Kamień koło Złoczowa wydarzyła się straszna tragedja małżeńska. Pracującej w polu żonie rolnika Bańkowskiego wyrwał jej mąż widły z rąk i począł ją żgać tak długo, dopóki nieszczęśliwa nie wyzionęła ducha. Teściowa, będąca świadkiem tragedji, uciekła. Powodem zabójstwa miały być niesnaski w rodzinie Bańkowskich. Zabójcę osadzono w więzieniu.

Wybuch maszyny piekielnej. W lokalu żydowskiej organizacji skautowej „Menorah" w Stanisławowie podłożono petardę, która wybuchła z niedzieli na poniedziałek. Od wybuchu runęła jedna ściana, strop w jednej ubikacji i we wszystkich oknach wyleciały szyby. Petarda była wyposażona w system zegarowy. Za chwilę po wybuchu zjawiła się na miejscu komisja, która przeprowadziła śledztwo. Ogólnie przypuszczają, że zamach miał charakter demonstracyjny.

Pies spadkobiercą. Przed kilkunastu dniami zmarł w Kołomyji emerytowany nauczyciel szkoły powszechnej ś. p, Karol Kudelski. Prowadził on ostatnio dziwaczny tryb życia. Rozporządzeniem ostatniej woli zapisał on cały swój majątek swemu psu, któremu ustanowił kuratora' postanawiając zarazem, że na wypadek śmierci psa, majątek przypaść winien kołomyjskiemu Towarzystwu ochrony zwierząt. Nie ulega wątpliwości, że rozporzą-

dzenie to zostanie sądownie zaczepione ze strony krewnych zmarłego, a wtedy prawnicy będą mieli do rozwiązania niecodzienną zagadkę.

Miljoner w więzieniu. W więzieniu przy ul. Dzielnej w Warszawie osadzono zamożnego ziemianina i właściciela kilku domów w Warszawie Stanisława Packa. Aresztowany był on po raz pierwszy przed kilku miesiącami po wykryciu malwersacyj pieniężnych sięgających 350.0С0 złotych na szkodę dzierżawczyni bufetów na dworcu Głównym w Warszawie. Gołębiowskiej. Packa zwolniono podówczas za kaucją w wysokości kilkudziesięciu tysięcy zł. Ponieważ okazało się, iż po zwolnieniu z aresztu śledczego, Pacek utrudniał śledztwo, zacierał ślady oraz starał się wpływać na świadków, sędzia śledczy polecił go osadzić w więzieniu.

2-miljonowa kaucja za uwięzionych. W warszawskiem więzieniu na „Pawiaku" osadzono trzech dyrektorów Polsko Belgijskiego Towarzystwa Impregnacji Drzewa. Towarzystwo to czyni obecnie starania, aby ci trzej dyrektorzy mogli stawać przy rozprawie w wytoczonym procesie z wolnej stopy, ofiarując kaucję w wysokości 2 miljony złotych. Decyzja prokuratura w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

Wyjęła serce trupowi. W październiku ubiegłego roku do Józefa Lusickiego, pilnującego cmentarza ewangielickiego na Woli w Warszawie, przybiegło dwóch chłopców i opowiedzieli, że jeden z grobów jest rozkopany, trumna rozbita a zwłoki wyciągnięte na wierzch. Dozorca udał się na wskazane miejsce i stwierdził, że pogrzebane dnia poprzedniego zwłoki Zygmunta Palmasa były istotnie wyciągnięte na wierzch i okrutnie zbezczeszczone. W piersi trupa widniała głęboka rana, zadana prawdopodobnie siekierą. W śledztwie stwierdzono, że jakaś zbrodnicza ręka dokonała sekcji trupa, wyjmując serce. Początkowo przypuszczano, że ohydna profanacja zwłok była aktem zemsty na nieboszczyku i w tej sprawie aresztowano nawet jedną osobę. Dopiero w dwa tygodnie po wypadku do sądu wpłynęła skarga niejakiej Antoniny Paradowskiej przeciwko 38 letniej Marji Mikołajczykównej o zniszczenie pożyczonego naczynia kuchennego. Na rozprawie Paradowska zeznawała, że dała Mikołajczykównej garnek, który po zwróceniu tak cuchnął trupem, że trzeba go było wyrzucić. Zapytana o datę wypożyczenia Paradowska odpowiedziała, że działo się to w tym właśnie dniu, gdy znaleziono rozkopany na cmentarzu grób. Usłyszawszy te słowa Mikołajczykówna zbladła i straciła przytomność. Podczas rewizji w mieszkaniu, które zajmowała, znaleziono cuchnącą masę w puszce, z posiadania której Mikołajczykówna nie potrafiła się wytłumaczyć. Aresztowano ją, poczem wyznała, że to ona dopuściła się zbrodni. Dalsze śledztwo ustaliło, że Mikołajczykówna jest ogarnięta przesądem na tle staropanieństwa. Na ulicy kupiła broszurę, zatytułowaną: „Sekret miłości". W jednym z rozdziałów tej broszury wyczytała, że „aby zdobyć sobie powodzenie u mężczyzn, należy wziąć serce trupa przystojnego mężczyzny, utłuc w garku żelaznym, a potem wysmarować się na noc cieczą, która spłynie z naczynia". Mikołajczykówna upatrzyła odpowiedni moment do wydobycia trupa na cmentarzu i zmasakrowała zwłoki, które sprofanowane pozostawiła na cmentarzu. Prokuratura warszawska sporządza już akt oskarżenia przeciwko zbrodniarce. Smutny to przykład działania parszywych piśmideł na umysły ludzkie.

Starcia policji z bezrobotnymi w Lublinie. W Lublinie doszło w ubiegły czwartek do starcia między policją a bezrobotnymi. Komunikat oficjalny w tej sprawie powiada: „Podburzani przez agitatorów bezrobotni zmusili część zatrudnionych bezrobotnych do porzucenia pracy, przyczem do starostwa grodzkiego udała się delegacja, przedstawiając swe postulaty. Jednocześnie tłum, podżegany przez agitatorów udaremnił rekrutację bezrobotnych, która się dziś odbywała i zaczął tłuc szyby w urzędzie pośrednictwa pracy i sąsiednich domach prywatnych. Oddział policji, przeznaczony do ochrony urzędu, obsypano gradem kamieni i kulami rewolwerowemi. W rezultacie tego ciężko raniony został przodownik policji oraz zastrzelony jeden robotnik. Oddział policji, broniąc się przed naporem tłumu, użył broni, strzelając w nogi. Skutkiem tego kilku robotników odniosło lekkie rany w nogi. Tłum rozpędzono przy pomocy nowego oddziału policji, który użył pistoletów gazowych. Aresztowano kilkanaście osób, znanych policji z działalności wywrotowej".

Samosąd. We wsi Garwiny, pow. kaliskiego miał miejsce krwawy samosąd chłopski, dokonany nad schwytanym na gorącym uczynku złodziejem - włóczęgą Józefem Ziębą. Zięba został przyłapany na kradzieży w zagrodzie jednego z miejscowych gospodarzy. Gdy schwytano go, Zięba stawił opór, wobec czego kilkunastu chłopów zatłukło go kijami na śmierć. Policja aresztowała 7 chłopów, podejrzanych o udział w samosądzie.

Spacer lwa po ulicach Łucka. Podczas przedstawienia w cyrku Helgotta w Łucku jeden z lwów przerwał przęsło żelaznego korytarzyka prowadzącego na scenę i wybiegł z cyrku. Wśród publiczności powstała ogromna panika. Tymczasem lew skorzystał z chwilowej swobody, przeszedł spokojnie ulicami miasta, kierując się w stronę łąk miejskich. Tu wypłoszony przez policjantów i służbę cyrkową wrócił z powrotem do cyrku, gdzie umieszczono go w klatce.

Wydłubał towarzyszowi oczy. W szpitalu dla obłąkanych w Warcie pod Sieradzem wydarzył się w ubiegły wtorek straszny wypadek. W czasie kontrolowania sal szpitalnych jedna z pielęgniarek wchodząc na oddział, stanęła przerażona. Przedstawił jej się potworny widok. Na łóżku leżał jeden z chorych, brocząc obficie krwią. Przy oknie zaś stał inny furjat i bawił się gałkami ocznemi, podrzucając je jak piłki. Jak się okazało, furjat w czasie nieobecności pielęgniarki wydłubał nożem towarzyszowi swemu oczy i bawił się niemi. Pielęgniarka powiadomiła o potwornem odkryciu lekarza, który przywrócił do przytomności straszliwie okaleczonego pacjenta.

Usiłowana zemsta syna. W Pułtusku odbywał się ostatnimi dniami niezwykły proces. Syn bogatych właścicieli młyna, niejakich Perlmutterów, imieniem Fiszel, poróżnił się z rodzicami o niewypłacenie mu kwoty 50 tysięcy złotych i za namową konkurenta Szpigelmana, również właściciela młyna, oskarżył rodziców swoich, że ci namawiali go do podpalenia młyna Szpigelmanowi. Szpigelman jako wynagrodzenie za fałszywe oskarżenie obiecał Fiszlowi znaczniejszą kwotę pieniężną. Gdy proces dobiegał końca i rodzice Fiszla mieli być skazani na ciężkie więzienie, syna ruszyło serce i wyznał prawdę, cofając poprzednie fałszywe oskarżenie.— Rodzice Fiszla zostali uwolnieni, a syn ich Fiszel został z miejsca aresztowany, jak również został aresztowany Szpigelman, któremu grozi ciężkie więzienie.

Szczęśliwe połowy. Polscy rybacy na półwyspie helskim wyłowili z morza rzadki okaz. Udało się złowić niebywałych rozmiarów i potężnej wagi jesiotra. Wydobyta z morza ryba waży 169 kilogramów. Nadmienić trzeba, że złowienie jesiotra na wodach polskich należy do wypadków bardzo rzadkich. Szczęśliwy rybak, kierowca połowu Budzisz, z trudnością znalazł nabywcę w jednej z wędzarń helskich, gdyż cena zdobyczy przekroczyła kilkaset złotych. Jesiotr na brzegu został natychmiast zabity, gdyż po wydobyciu z wody uderzeniem

ogona zdołał jednego z rybaków powalić na ziemię. Powiódł się także połów rybakom łowiącym na innym odcinku, którym udało się złowić łososia o wadze przeszło 60 kg. Łososia tego nabyła wędzarnia helska, płacąc po 5 zł. za 1 kg.

Śmierć czterech chłopców. We wsi Wołochwa na pograniczu sowieckiem czworo dzieci znalazło w rowie niewystrzelony pocisk artyleryjski. W czasie manipulowania przy pocisku nastąpił wybuch, który zabił na miejscu dwu chłopców, 8 letniego L. Zapruskiego i jego 7-letniego brata Władysława. Dwaj inni chłopcy zostali tak ciężko poranieni, że po przewiezieniu do szpitala w kilka godzin zmarli.

Wielkanoc w Rosji sowieckiej. Z Moskwy donoszą, że święta Wielkiejnocy według kalendarza starego stylu, obchodzone były tłumnie zarówno przez ludność wiejską jak i miejską. Mimo ostrych zakazów obchodzenia świąt religijnych, cerkwie w Moskwie przepełnione były w nocy z soboty na niedzielę tłumami wiernych. W cerkwiach zauważyć było można liczne grupy młodzieży zarówno z Moskwy jak i pobliskiej okolicy. To samo zjawisko zaobserwować było można na prowincji. Świadczyłoby to o załamaniu się tak silnej propagandy bezbożnictwa, która zresztą w roku bieżącym prowadzona była znacznie mniejszym nakładem sił i środków. Wielu robotników po nabożeństwie nocnem w cerkwi udało się do zajęć w obawie przed karami, któremi zagrożono za świętowanie Wielkiej nocy.

Nieboszczyk musi się wyprowadzić. W Moskwie zdarzył się zabawny wypadek. Przed niejakim czasem robotnik metalowiec Korotkow upił się do nieprzytomności i znalazł się w komisarjacie milicyjnym. „Lekarz dyżurny Iwanow — opowiadał potem Korotkow — spojrzał na mnie i powiada: „No, mój kochany, niedługo już pożyjesz. Jutro o tym czasie powiozą cię na cmentarz, albo do krematorjum. Nie rób awantur i nie denerwuj się. Postaraj się umrzeć, jak przystało na prawego komunistę". Po chwili dodał: „Szkoda zresztą czasu. Ja odrazu wystawię ci zaświadczenie zgonu, a ty, nie tracąc czasu, poślij odrazu krewnych z tem zaświadczeniem do biura pogrzebowego, żeby wszystko na jutro przygotowali do pogrzebu". Oddech lekarza przepojony był wódką niemniej, niż u pacjenta. Następnego dnia Korotkow czuł się wcale nieźle. Przyszedł do swego mieszkania i tu znalazł zaświadczenie o swoim zgonie. Zaświadczenie takie daje prawo do otrzymania zasiłku na trumnę i pogrzeb. Wzruszony Korotkow poczuł pragnienie, poszedł odebrać zasiłek pogrzebowy i przepił go odrazu. Uświadomiony komunista nie był w ciemię bity. Znalazłszy w umieraniu źródło nadzwyczajnych dochodów, Korotkow powtarzał tę sztukę sześciokrotnie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zatarg z administracją domową. „Chociaż ja umarłem i dawno już jestem nieboszczykiem, to wy nie róbcie świństwa i nie wyrzucajcie mnie z mego pokoju" — rzekł Korotkow. — Sekretarz administracji domu uporczywie jednak wyrażał przekonanie, ze nieboszczyk mieszkać w tym domu nie może. Różnica zdań zakończyła się bójką, w której wzięli udział liczni mieszkańcy domu. „Żywego nieboszczyka" ocalili od prawdziwej tym razem śmierci milicjanci. Korotkow w rezultacie skazany został na miesiąc więzienia za oszustwo, a lekarz otrzymał surową naganę.

Wykrycie spisku na króla rumuńskiego. Na życie króla rumuńskiego Karola przygotowano zamach, który jednak w porę wykryto. Mianowicie gdy król Karol w ubiegłą niedzielę miał być obecny na uroczystem nabożeństwie w katedrze, spiskowcy zamierzali katedrę wysadzić w powietrze. Na nabożeństwie tem miał być obecny król Karol z rodziną, oraz wszyscy członkowie rządu i inni dostojnicy. Aresztowano wszystkich spiskowców z pułkownikiem Perecupem na czele. Miał on zamiar po zamachu ogłosić się dyktatorem. Również na prowincji miano aresztować 10 wyższych oficerów zamieszanych w spisek.

Zemsta ojca za krzywdę córki. Na jednej z najbardziej ożywionych ulic Paryża zastrzelił pewien starszy mężczyzna drugiego, młodszego od siebie mężczyznę, poczem rewolwer wręczył policjantowi i oddał się w jego ręce. Sprowadzony na komisarjat policyjny zabójca oświadczył, że jest Belgijczykiem, liczącym 65 lat życia. Ofiarą jego jest jego zięć. Opowiedział on następnie dokładnie jego stosunki rodzinne i przyczynę zastrzelenia swego zięcia. Wynika z nich, że zięć obchodził się z jego córką wprost bestjalsko w następstwie czego doszło do rozwodu. Podczas rozprawy rozwodowej w Antwerpji przed 8 laty, zięć zastrzelił swoją żonę, za co skazany został na 4 lata więzienia, później jednak został ułaskawiony na mocy amnestji. Poszukiwał on swojego byłego zięcia od 8 lat, chcąc się pomścić za krzywdę córki, czego obecnie dokonał.

Rozszerzenie odpustu jubileuszowego na cały świat. W Watykanie ogłoszono bullę papieską rozszerzającą odpusty Roku Świętego na cały świat katolicki. W dokumencie tym Ojciec św. wyraża na wstępie zadowolenie ze wspaniałego przebiegu Jubileuszu i obfitych jego owoców, czego wyrazem były niezwykle liczne i tłumne pielgrzymki przybywające z całegu świata i obejmujące rzesze zarówno starców, mężów dojrzałych, jak i młodzieży, zarówno robotników, jak i członków najwyższych warstw społecznych. Ponieważ jednak nie wszyscy mogli przybyć do Rzymu uważa Ojciec św. za wskazane Jubileusz rozszerzyć na cały świat i na okres do oktawy Wielkiejnocy 1935 roku. Dalej wzywa Papież duchowieństwo, aby zechciało odpowiednio przygotować swych wiernych do wykorzystania dobrodziejstwa tego nadzwyczajnego przywileju udzielanego przez Kościół, przedewszystkiem przez ogłaszanie rekolekcyj, misyj i wykładów. Opis dokładny warunków uzyskania odpustów jubileuszowych kończy tę bullę.

Wywóz pcheł z Ameryki. Zupełnie nowy artykuł eksportowy znaleziony został w Ameryce. Oto na zamówienie wysłany został do Europy transport pcheł w ilości 500 sztuk. Oryginalny obstalunek na pchły otrzymany został z Kopenhagi. Wobec tego, że w Danji z powodu czystości prawie nie spotyka się tych owadów, zakładom naukowym brakuje pcheł dla swych doświadczeń. Pewna instytucja naukowa w Kopenhadze zwróciła się do Bostonu z niezwykłym obstalunkiem 500 pcheł. Propozycja ta skierowana została do fermy niejakiego rolnika nazwiskiem Nashoire, gdzie niezwłocznie została wykonana. Pchły zaopatrzone odpowiedniem pożywieniem wysłane zostały pocztą. Gazety amerykańskie, podające ten fakt, nie wspominają ile kosztował ten towar w postaci 500 pcheł. Uczeni twierdzą, że w Europie daje się zauważyć zanik pcheł. Przyczyn zaniku tych owadów uczeni nie podają.

Jak zwalczają przestępczość w Australji. Ogromny sukces w walce z rozrostem przestępczości osiągnęło prawodawstwo w Austraiji. W r. 1931 wprowadzono nową ustawę, na mocy której każdy obywatel, choćby nie karany sądownie, zbyt często spotykany i widziany w towarzystwie osobników podejrzanych, ulega karze zamknięcia w więzieniu na 12 miesięcy. Po uchwaleniu i wprowadzeniu w życie nowego prawa wniesiono oskarżenie przeciw 30 osobom, z których 26 skazał sąd na karę więzienia za przebywanie w towarzystwie notorycznych przestępców. Od czasu wprowadzenia w życie tego nowego prawa przestępczość w Australji znacznie spadła. Grasujące dotąd bandy opryszków nie mogą znaleźć dla siebie żadnego lokalu ani przytułku.

RZECZY CIEKAWE.

Echa katastrofy w Norwegji.



Na powyższem zdjęciu fotograficznem, zrobionem z jakiejś wysokiej skały, widzimy miejscowość Aalesund w Norwegji, którą zalały fale morskie, spowodowane przez urwanie się olbrzymiej skały i wpadnięcie do morza, przez co straciło życie 40 osób. (W poprzednim numerze w kronice podaliśmy już szczegóły tej okropnej katastrofy).

Na czem polega węch psów?

Znana jest powszechnie zdolność psów na punkcie rozpoznawania pewnych śladów i osób przy pomocy węchu. Szczególniejszą zdolnością odznaczają się tu tresowane psy policyjne — dobermany.

Na czem polega owa zdolność? Jakie są jej podstawy fizjologiczne?

Sprawą tą zajmowali się prof. Lohner, Mort, Menzel itd.

Doświadczenia Lohnera były następujące:

Prostokątne kawałki drzewa świerkowego o wymiarach 100×15×15 mm. umieszczał on na czystym papierze w odległości 10 do 20 cm. od siebie. Osoba, nieznana psu, po starannem umyciu rąk, trzymała w ręku jeden taki kawałek w ciągu 2 minut, poczem kładziono go wśród kilkudziesięciu innych, za każdym razem w innem miejscu. Doberman po obwąchaniu rąk owej osoby musiał aportować kawałek dotknięty. Rozwiązanie tego zadania nie sprawiało psu najmniejszych trudności.

Próbowano następnie zmniejszać stopniowo czas trzymania drzewa w ręku.

Jak się okazało, już 1 do 2 sekund zupełnie wystarczyły, aby pies aportował drewienko bez błędu.

Próbowano dalej zmniejszać powierzchnię zetknięcia kawałka z ręką. Nawet po dotknięciu drewienka końcem palca, doberman rozpoznawał objekt, zwrócony stroną dotkniętą do podłogi, jakkolwiek musiał teraz szukać dłużej i staranniej.

Pokrywanie śladu dotknięcia silnie pachnącemi olejkami również nie przeszkadza psu w prawidłowem aportowaniu, mimo, iż pies szczekaniem i wahaniem się zdradza, że zapachy te są dla niego niemiłe.

Zapach ciała ludzkiego jest bardzo różny w poszczególnych punktach. Inaczej pachnie ręka, a inaczej głowa lub noga. Jak się zdaje, pies zapamiętuje pewien zapach mieszany, właściwy danemu osobnikowi. Jeśli osoba, nieznana psu, dotknie drewienka np. głową, a potem obwącha jej ręce, to wystarczy już ażeby aportował prawidłowo.

Wiadomo zresztą, że pies, który obwąchał kapelusz przestępcy, poznaje ślady jego obuwia. Jeśli kawałek drewienka został dotknięty ręką osoby A, a potem przeszedł kolejno do rąk B, C i D, to pies, po obwąchaniu ręki A, poznaje kawałek bez trudu.

Jak wykazały badania Mosta, rozpoznawanie przez psa śladów ludzkich zależne jest od wielu, bardzo złożonych warunków. Prócz specyficznej woni człowieka, odgrywa tu rolę zapach zdeptanych roślin, wzruszonej ziemi i t. p. Niektóre psy potrafią wyśledzić nawet trop ludzki, pozostawiony przez osobę, mającą na nogach specjalne obuwie. — Zwłaszcza w przypadku śladów starych, wielokrotnie przykrytych przez inne, ich rozpoznawanie stanowi wprost zagadkę przyrodniczą.

Ostatnio praca Menzla przyniosła w tym względzie pewne wyjaśnienie. Odkrył on, że trop ludzki, który pies rozpoznaje, koniecznie powinien mieć pewną minimalną długość, wynoszącą niekiedy kilkaset metrów. Tylko wtedy pies zdolny jest wykryć trop, gdy biegnie wzdłuż niego na dłuższej przestrzeni. — Zjawisko tłumaczy się więc dobrze znaną w fizjologji zasadą sumowania się podniet podprogowych.

Podnieta o minimalnem natężeniu, która sama w sobie wystarcza dla pobudzenia narządu węchowego, dzięki wielokrotnym powtórzeniom przekracza granicę pobudliwości i daje efekt zewnętrzny.

Odkopanie starożytnych miast.

W stepach Milskich (Azerbejdżan — Kaukaz południowy) sowieccy archeologowie odkopali dawną stolicę kraju, miasto Bejłakacz, które istniało od V do XV wieku. Urządzenia kanalizacyjno-wodociągowe miasta są używane po dziś dzień w celu nawodnienia okolicznych plantacyj bawełny. Znaleziono ornamenty z XIII stulecia oraz odkopano mur, bramę miejską z V wieku, oraz wiele starożytnych monet (ponad 100 sztuk) i biżuterji.

We wsi Rajki, w okolicach Berdyczowa ekspedycja archeologiczna ukraińskiej akademji nauk odkopała gród z XII stulecia, w którym natrafiono na ślady Scytów. Znaleziono wyroby złote, kuźnię, narzędzia oraz kości ludzkie i zwierzęce.

Urzędowe koty.

Londyn posiada pewną ilość „urzędowych" kotów. Większość z nich znajduje się w okolicy doków, gdzie do ich obowiązków należy ochrona składów towarowych przed szczurami i myszami. Zarząd Portu Londyńskiego wypłaca nawet tygodniową pensję na ich wyżywienie w razie, gdyby upolowana zdobycz nie wystarczała na zaspokojenie głodu kocich „urzędników".

Ogrody zoologiczne również muszą posiadać pewną ilość kotów, gdyż niektóre zwierzęta trzymane w niewoli, np. słonie, panicznie boją się mysz i szczu-

rów. Jeden taki koci dozorca w londyńskim ogrodzie zoologicznym zaprzyjaźnił się wielce z małem, osieroconem przez matkę lwiątkiem. Przyjaźń była tak gorąca, że lwiątko nie chciało jeść, o ile koci przyjaciel mu przy tem nie asystował. Pewnego dnia kot uciekł, a zarząd ogrodu musiał wyznaczyć nagrodę za odnalezienie kota, gdyż lwiątko marniało z tęsknoty za przyjacielem.

Tajemnicze jaskinie na Bałkanach.

Znany uczony serbski Jerzy Orłow odnalazł w południowej Serbji w okolicach miasta Prilep bardzo ciekawe jaskinie, w których zdołał odcyfrować ślady malowideł. W grotach tych, utworzonych niewątpliwie sztucznie, odszukał co więcej Dr Orłow szczątki klasycznych kolumn, coby dowodziło, że istniało tu kiedyś spore osiedle, które potem runęło w gruzy.

Rzeczą charakterystyczną jednak jest, że liczne legendy serbskie wspominają o owych grotach. Narodowy bohater Serbji, królewicz Marko, który zmarł w r. 1394 przechowywał w grotach tych swoje skarby po dziś dzień nie odkryte. Marko jest wcieleniem ducha serbskiej rasy, a legendy o nim rozpowszechnione są w całej Serbji. Legendy opowiadają, że żył on 300 lat, że mając lat 150, jeździł jeszcze na koniu.

Okoliczni włościanie unikali stoków górskich, — gdyż według ich wierzeń — zamieszkiwane one były przez złe duchy. Dopiero ekspedycja archeologiczna Dra Orłowa przekroczyła „zaczarowany pas“ i zbadała dokładnie niezwykle interesujące groty — związane z historją Serbji. U wejścia do grot znaleziono szkielet niemieckiego żołnierza, który najwidoczniej zbłądził w labiryncie grot i umarł z głodu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Józef Ziemba** w N.: Komentarz znaczy wyjaśnienie, objaśnienie. Komentarzami nazywają także książki, zawierające objaśnienia dzieł trudno zrozumiałych. Analogiczny znaczy podobny. Efekt znaczy dosłownie skutek. Zwykle oznaczamy tym wyrazem silne wrażenie, jakie dzieła sztuki, książki, mowy i t. p. wywołują w umysłach ludzkich. Ewentualność znaczy okoliczność lub wypadek, który może zdarzyć się. Dewiza — krótkie zdania zawierające niejako hasło lub zasadę działania, umieszczaną np. na herbach nazywają dewizą. Dewizą nazywa się także weksel brzmiący na zagranicę. Konsekwencja znaczy albo następstwo, skutek, albo też zgodność następnych myśli lub czynów z poprzedniemi. Konsekwencję przypisujemy ludziom, którzy zapatrują się na świat i działają w sposób jednostajny, wedle stałych zasad; natomiast ludzie, którzy ciągle zmieniają swe poglądy i postępowanie, grzeszą brakiem konsekwencji, czyli inkonsekwencją. Pierwszych nazywamy konsekwentnymi, drugich niekonsekwentnymi. **Jan Sobczyk** w Cz.: Szaradę drugą wydrukujemy. Pierwsza i trzecia są złe. Dodanie końcówki do słowa „kryzys“ jest mylne. Radom dzieli się Ra-dom. W czwartej szaradzie na konia nie wołają „Tr“, więc także jest do niczego. **Jan Liwosz** w K.: Artykuły zamieścimy. **S. B.** w Andrychowie: Jeszcześmy ostatecznie nie zadecydowali, ale prawdopodobnie jedną powieść p. Migowej będziemy drukowali. Dziś terminu nie możemy oznaczyć. **Karol Banach** w J.: Reklamacji niech Pan nie zalepia, gdyż poczta musi sprawdzić, że Pan pisze rzeczywiście o niedoręczony numer. Zalepiona koperta uważana jest jako list i musi być opłacona. **Stanisław Kopacz** w G.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. **Stefan Kulis** w Dz.: Zagadki zamieścimy. Figi, cytryny, pomarańcze, świętojański chleb wyhodowane w wazonkach w domu będą rosły i może się Pan doczekać nawet owocu, jednak gdyby to można osiągnąć tak łatwo, toby Pan widział w pokojach u ludzi. Tym drzewom klimat nasz absolutnie nie służy. Natura ich wymaga zapuszczenia głębiej korzeni, czego w małym wazonie uczynić nie mogą i gniotą się. Przesadzane nie rosną. **Michał Śliwiński** w J.: Za uznanie dla „Roli“ serdecznie dziękujemy, jak również za okazaną przysługę. Również i następne powieści będą bardzo zajmujące.

Zagadki do nagrody.

1. Sylabowe prostokąty magiczne

(Ułożył Franciszek Bieniek z R.).

I.

II.

W każdą kratkę wstawić po dwie litery, aby razem dały słowa. Poniżej zamieszczamy znaczenie wyrazów.

1. Prostokąt: 1) Żyjątka morskie 2) Dostojnicy żydowscy. 3) Nieskory do pracy.
2. Prostokąt: 1) Owoc leśny. 2) Samogłoska, spółgłoska. 3) Konferencja.

2. Szarady.

(Ułożył Kazimierz Mazurkiewicz W.).

I.

Pierwsze nazwa ptaka,
W drugie chwytają szczupaka.
Całość nazwisko męża sławnego
I w całej Polsce dobrze znanego.

II.

Pierwsze drugie mów do dzie i,
Powróz mocny drugie trzecie,
Całość w lesie zaś znajdziecie.

3. Zagadki.

(Ułożył Bolesław Jarmułka z W. M.)

I.

Pierwsze laska, kółka dwa,
Drugie część ciała ludzkiego,
Całość zaś zwierzę, żyje
Wśród mieszkania wilgotnego.

2. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Franciszek Bieniek z R.).

I.

				Członek rodziny.
				Przetwór spirytusu wspak
				Napad.
				Niezbędne w redakcji.

II.

				Ma każde drzewo.
				Przyimek.
				Przekopy.
				Kij (wspak).

W miejsce pustych kratek wstawić litery, aby utworzyły słowa o podanem obok znaczeniu.

Wyrazy czyta się poziomo jakoteż i pionowo.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki dla rozwiązujących.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 27 bm.

Znaczenie zagadek z Nr. 15 „Roli“: 1. Krzyż magiczny: Kurytyba, pływanie, notatkom, szynkiel. 2. Szarada: Matematyka. 3. Figielek: Uciecha. 4. Łamigłówki kwiatowe: Ostróżka, stokrótka, nasturcja. 5. Kwadraty magiczne: Żaba, Abel, bela, sala, Kora, opad, rama, Adam.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Sobczyk z Cz., Kazimierz Kosakowski z W., Irena Borysowa z C., Dominik Buchała z Z., Piotr Nowak z K. W., Mieczysław Szeliga z B., Karol Głowacki z T. i Jan Gofroń z J., Feliks Popielarczyk z S.

Nagrody otrzymali pp.: Irena Borysowa z C. i Karol Głowacki z P.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk.

Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie.

I kupuj tu losy.

Sąsiadów pana Rozensztoka zbudził głośny hałas. Pan Cyperman, najbliższy sąsiad, wchodzi do Rozensztoka i pyta:

— Co się stało?

— Zbiłem mego syna!

— Za co?

— Niech pan sobie wyobrazi, temu pętakowi śniło się, że wygrał sto tysięcy złotych i całe pieniądze wydał na dziewczynki! To ja miałem nie zbić takiego gałgana?!

Zgorzkniały tatuś.

— Tatusiu, dlaczego właściwie Pan Bóg najpierw stworzył samego Adama?

— Aby sobie w spokoju mógł obejrzeć ten świat Boży.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 kwietnia b. r.

Pszenica	20·75—21·00	Słoma długa	3·25—3·56
Żyto	14·00—14·15	Ziemniaki stoł.	0·00 0·00
Owies	12·50—12·75	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—225·00
Jęczmień	14·50—15·00		
Fasola biała	27·00—28·00	Mąka żytnia	23·50—23·75
Groch zwyk.	26·00—28·00	Mąka pszen.	38·00—38·50
Siano słodk.	6·50—7·00	Otręby pszen.	10·00—10·50
Łubin żółty	10·00—10·50	Otręby żytnie	9·50—9·70
Konicz pastew.	7·00—8·00	Mąka czerw.	12·50—13·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Podziękowanie.

W. Pan A. Solak, Wytwórnia pras i pasieka p. Strzelce Wielkie, woj. Krakowskie.

Niniejszem mam zaszczyt podziękować Sz. Panu za otrzymane od Pana prasy do wyrobu węzy, które sprowadziłem jedną dla siebie, a drugą dla swego kolegi. J. Kozielca, z których jestem tak ja, jak również kolega bardzo zadowolony, ponieważ praski są wykonane solidnie, ze znajomością fachową, które węzę dobrze robią i pszczoły chętnie ją wykończają.

Łączymy wyrazy szacunku i poważania.

Tylmanowa, 18. II. 1934 r. **Jakób Michalczak**

p. Tylmanowa pow. Nowy Targ.